

# Love's Cadenza. A Migrant's Story 1939 - 1956

„Kadencja miłości. Historia emigranta do Australii 1939-1956”

## 10. Nowe horyzonty i nowa miłość

**Ignotum est, quid cras futurum sit,  
sed quid factum est, in memoria nostra**

(Niewiadomym jest co przyszłość jutro przyniesie, ale to co się stało, pozostanie w naszej pamięci.)



Przedwcześnie się cieszyłem myśląc, że już załatwiłem sobie zmianę pracy. Listowna odpowiedź dyrektora okręgu biura pośrednictwa pracy był krótka, węzłowata i... odmowna. Byłem wściekły! W poniedziałek zaraz z rana poszedłem z powrotem do biura pracy i rozmawiałem z niejakim panem Reed, który początkowo powiedział mi, że nic już nie mógł mi w mej sprawie pomóc. Zacząłem go jednak przekonywać i przedstawiałem mu powody, dla których powinien był zmienić zdanie. W końcu kazał mi jeszcze raz wypełnić formularz żółtego koloru, który już raz wypełniałem w październiku poprzedniego roku, a który on, jak powiedział, gdzieś zagubił. Potem dał mi list, ale nie do *Electricity Trust* tylko do *Engineering and Water Supply Department*<sup>1</sup>, polecając mnie jako *Levelling Assistant'a*<sup>2</sup>. Nie byłem tym zachwycony, wiedząc, że na takim stanowisku musiałbym pracować na stałe na prowincji, ale udałem się pod wskazany adres. Okazało się, że potrzebowali wtedy pracownika z praktyką i zamiast tego oferowali mi pracę pomiarowego, też na prowincji, z

mieszkaniami w namiotach. Odmówiłem, mówiąc, że budowaliśmy jeszcze nasz tymczasowy dom i dlatego nie mogłem przebywać na stałe na prowincji.



Wykopujemy stare kable elektryczne

Poszedłem z powrotem do pana Reeda. Zgodziłby się przenieść mnie do *Electricity Trust*, gdyby fabryka mnie zwolniła. Popędziłem więc do kierownika personalnego fabryki, pana Thompsona. Wysłuchał mnie i swym zwyczajem powiedział, że przyjdzie później do mnie porozmawiać w tej sprawie. Nie przyszedł, więc ja poszedłem do niego po pracy i w końcu otrzymałem jego zgodę na zwolnienie, ale dopiero po długiej rozmowie, w której on mówił mi dlaczego nie mógł mnie zwolnić, a ja starałem się mu udowodnić, że mógł. Widocznie zabrakło mu już argumentów, bo ustąpił, dał mi list ze zwolnieniem, Mr Reed też dał swoje "błogosławieństwo" i zacząłem pracę jako *chaiman*<sup>3</sup> w *Survey Section*<sup>4</sup> *Electricity Trustu* w poniedziałek 7 maja 1951 roku.

Sekcja miernicza należała do działu projektowania, który rozrastał się i pilnie pracował aby zaspokoić wzrastające zapotrzebowanie na energię elektryczną w Południowej Australii. Dział nasz potrzebował też więcej miejsca dla swego personelu i dlatego właśnie przenosił się z głównego budynku Trustu na ulicy North Terrace do budynku Hindmarsh na placu o tej samej nazwie. Nasza sekcja już się przeniosła zajmując część pierwszego piętra, a inne piętra przygotowywano na przyjęcie pozostałych sekcji działu planowania.

W moim pierwszym tygodniu pracy, żadne ekipy miernicze nie wyjeżdżały na prowincję, więc "objaliśmy się" w biurze, udawaliśmy, że pracujemy albo wykonywaliśmy drobne prace pomiarowe w Adelajdzie. Na następny tydzień mierniczy Bob Kindley zabrał nas dwóch pomiarowych, Stanisława Ślusarskiego i mnie ze sobą do miasteczka Port Augusta, 325 kilometrów na północ od Adelajdy. Cieszyłem się, że zobaczę australijską prowincję czyli *country* i że pracując nadgodziny będę mógł trochę więcej zarobić. Droga na północ była dobra, więc Bob jechał szybko, a ja przyglądałem się pięknym krajobrazom i zielonym po ostatnich deszczach polom. Mieliśmy najpierw trochę pracy blisko przemysłowego miasta

Port Pirie, do którego przybyliśmy po południu i dopiero na drugi dzień późnym popołudniem ruszyliśmy dalej, do Port Augusta. Po prawej stronie mieliśmy południowe krańce pasma gór Flindersa, ciągnącego się setki kilometrów w kierunku północnym, którego stare, zaokrąglone przez czas grzbiety i wierzchołki pięknie oświetlały tego dnia promienie zachodzącego słońca. Po lewej rozciągała się równina łagodnie opadająca aż do brzegów zatoki Spencera w oddali, z miastem Port Augusta u północnego krańca zatoki. Zatrzymaliśmy się w hotelu Flinders, podobno najlepszym w Port Augusta, miasteczku przyjemnym, czystym, dobrze utrzymanym, o 5 tysiącach mieszkańców. Pokoje były na pierwszym piętrze. Bob miał osobny pokój, a Stan i ja mieszkaliśmy razem. Nasza praca polegała na wytyczaniu linii, ustalaniu położenia i wbijaniu palików w miejsca gdzie potem ekipy konstrukcyjne ustawiały słupy ze stali i betonu podtrzymujące dwie równoległe linie przesyłowe wysokiego napięcia biegnące do Adelajdy z elektrowni budowanej w Port Augusta.

Budząc się rano miałem często wrażenie, że byłem na wakacjach u dziadka na Piekarach, bo poranki były przeważnie słoneczne, a w gałęziach drzew za hotelowym oknem głośno świergotały ptaki. Aby z rana dostać gazetę *Advertiser*, trzeba było zazwyczaj trochę poczekać. Grupka ludzi stała wtedy przed sklepem z gazetami zwrócona twarzami w kierunku rogu głównej ulicy, za którym ukazywał się samochód przywożący gazetę z Adelajdy, zupełnie jakby czekała na przybycie dylżansu w kowbojskim filmie. Samochód wyjeżdżał z Adelajdy krótko po północy i zostawiał paczki z gazetami we wszystkich miasteczkach po drodze do Port Augusta.

Palikowaliśmy dalej przez bardzo stare, niskie wzgórza, zaczynając w miejscowości o romantycznie nazwanej *Nectar Brook*<sup>5</sup> i wzdłuż strumyka *Gum Creek*<sup>6</sup> u podnóża wzgórków, posuwając się w kierunku elektrowni. Było ciepło i słonecznie, ale idyllę zepsuły dwa dni bardzo zimnych wiatrów i kurzu .

Nasz system pracy był taki, że spędzaliśmy dwa tygodnie "w buszu", to znaczy na prowincji, a potem weekend w Adelajdzie, łącznie z poniedziałkiem poświęconym na sprawdzenie samochodu i załatwienie potrzebnych spraw osobistych. Miałem zamiar kształcić się na wykwalifikowanego mierniczego zwanego *licensed surveyor* , więc właśnie w poniedziałek poszedłem do urzędnika szkoleniowego Trustu w tej sprawie. Poinformował mnie, że najpierw trzeba było pracować dwa lata jako "kadet" pod kierunkiem *licensed surveyor'a* , potem następne dwa lata już tylko pod jego nieznacznym nadzorem i w tym czasie opanować teorię miernictwa i zdać przewidziane egzaminy — wszystko to jako pracownik Trustu z pełną płacą. Wtedy było tylko jedno miejsce na takiego ucznia i był już kandydat na nie, więc nie chciałem sobie robić zbyt wielkich nadziei.

W pierwszych dniach naszej następnej tury do Port Augusta skończyliśmy palikowanie we wzgórzach i przeszliśmy na otwarty teren porośnięty niskimi krzaczkami zwanymi *saltbush*<sup>7</sup> o drobniutkich, mięsistych listkach, które stanowiły pakarm dla pasących się tam owiec. Pracowało się tu łatwiej, ale we wzgórzach było bardziej malowniczo, szczególnie

przez kilka ostatnich ciepłych i słonecznych dni. Z niskich, miejscami skalistych szczytów i zboczy rozciągał się wspaniały widok na zatokę i owiane błękitną mgiełką wzgórze po jej drugiej stronie.



Wytyczamy linie wysokiego napięcia

*Chainman* czyli pomiarowy, to niewykwalifikowany pomocnik mierniczego. Jego praca polegała na trzymaniu przy pomiarach taśmy, zwanej po angielsku *chain*, czyli łańcuch (kiedyś był to rzeczywiście łańcuch o ogniwach długości 7.92 cala), na wbijaniu palików, trzymaniu biało-czarnej tyczki przy wytyczaniu linii lub specjalnej łaty przy niwelowaniu i tachymetrii, na ścinaniu krzaków które zasłaniały widok przez teleskop teodolitu i na innych podobnych pracach. Gdy nasz mierniczy, Bob, zamierzał nastawić teodolit na jakiś odległy punkt, najpierw zawoził mnie albo Stana z łatą do tego punktu, potem jechał z powrotem do instrumentu, nastawiał go na łatę, wykonywał potrzebne pomiary albo wytyczenia i w końcu przyjeżdżał zabrać mnie po skończeniu swych obserwacji.

Jednego popołudnia gdy siedziałem wysoko na skalistym wzgórzu czekając na Boba żeby mnie z powrotem zabrał i oczyma wodziłem po pobliskich stokach i dolinach, przypomniała mi się wycieczka do rezerwatu Morialta z Weronką. Zateśniłem za nią, ale uświadomiłem sobie, że nasz stosunek był jakiś dziwny. Gdy była w Adelajdzie chodziliśmy pod rękę. Ale biorąc pod uwagę naszą korespondencję, dochodziło się do wniosku, że była ona obojętna, tak obojętna, że miesiąc upłynął, a Weronka nie odpowiadała na list. Dziwne to, bo nie byliśmy ani tylko koleżanką i kolegą, ani zakochaną parą. Gdy w końcu dostałem jej list, napisała, że nie pozwoliła jej pisać "szanowne lenistwo".

Myślałem też o Ali. Na balu 3-cio majowym spędzała większą część czasu ze mną i z moimi rodzicami. Dużo z nią tańczyłem i wreszcie miałem okazję zatańczyć naszego tradycyjnego slow-foxa, którego zamówiłem u niej listownie gdy była jeszcze w Queensland. Później napisałem do niej pod wrażeniem tego balu, ale był to jednak tylko koleżeński list. Za to śniłem o niej tej nocy: że byłem z nią, a ona uśmiechała się jakby chciała powiedzieć "A jednak czuję się najlepiej, gdy jestem z tobą".

To wszystko wprowadziło mnie w jakiś melancholijny nastrój. I Weronka i Ala były jednak tylko dobrymi koleżankami. Myślałem też, że jeżeli chciałem studiować, to nie było sensu poważnie się z kimś zadawać. Z drugiej strony, jeśli bym za długo czekał, dziewczęta zabierze ktoś inny. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby był choćby cień jakiegoś bardziej intymnego stosunku między jedną z nich, a mną, ale tego nie było...

Jurek Lisiewicz i Ala otrzymali listy od koleżanek i kolegów, którzy wyemigrowali do Ameryki. Wielu z nich zawarło już związki małżeńskie. Antosia też miała męża i "piękną córkę", jak pisano. No dobrze, ale to mnie już nie wzruszało i nie obchodziło, a przynajmniej tak mi się zdawało. Gdy byłem na weekend w Adelajdzie widziałem w autobusie "księżniczkę": młoda dziewczynę, "Śnieżkę"— jak kiedyś, na początku nazywałem Antosię. Jej widok zrobił na mnie tak wielkie wrażenie, jak widok tamtej "Śnieżki" kilka lat temu. Miała ciemne włosy, oczy też ciemne, a może nawet czarne. Nosila chustkę na głowie. Nie była piękną, może tylko ładną, ale miała w sobie to "coś", które miała tamta. Jakiś tajemniczy urok i jakiś dziwną, przyciągającą moc. Jej widok wywołał we mnie chwilę szalonej tęsknoty za tą pierwszą "Śnieżką" — nawet po tak długim czasie ... Przeszedłem do domu przygnębiony.

Siedząc na wzgórzu zatopiony w myślach, nagle uświadomiłem sobie, że słyszę odgłos zbliżającego się samochodu ... Ach, to Bob nadjeżdżał żeby mnie zabrać...

Pracowaliśmy znów w innym środowisku: między pagórkami piasku i gdzieś niegdzie kępami krzaków. Gdyby nie krzaki, byłaby to miniaturowa Sahara, tylko że kolor piasku był inny, czerwony. Trzeba było bardzo ostrożnie jeździć samochodem żeby w piasku nie ugrząść. A gdy zaczęło padać i byliśmy bliżej zatoki gdzie grunt był gliniasty i jeszcze bardziej zdradliwy, w końcu ugrzęźliśmy. Zanim się uwolniliśmy, koła, podwozie i nasze buty były grubo oblepione mokrą gliną. Bob był kierowcą, ale ja miałem wielką chętkę też poprowadzić naszą furgonetkę marki studebaker i w końcu pozwolił mi na to. Był to dobry, mocny wóz i miał jedno niezwykle urządzenie, którego nie spotkałem w żadnym innym samochodzie: rozrusznik uruchamiał się pedałem sprzęgłowym przyciskając go do samego dołu i pokonując lekki opór przy samym końcu ruchu.

Po weekendzie w mieście miałem następny dwutygodniowy pobyt na północy. Linia biegła wtedy przez *scrub*, teren porośnięty dużymi krzakami i gdzieś tam nawet dość dużymi drzewami. Gdy były na linii, trzeba je było wycinać siekierą, a drewno ich było twarde jak żelazo. Jeździliśmy do właścicieli ziemi po podpisy na dokumentach udzielających pozwolenia na przeprowadzenie linii przez ich posiadłości. Czasem spotykaliśmy się z nimi w mieście, a były wśród nich barwne postacie. Jeden, z którym rozmawialiśmy w Port Augusta, miał też ogromną posiadłość na północny zachód od miasta, dwadzieścia dwa wozy osobowe i ciężarówki i ośmiu synów i córkę, gdyż, jak powiedział, swego czasu był okres wielkiej suszy i nie było co robić tylko zajmować się tym żeby mieć dużą rodzinę. Krytykował nowych farmerów za to, że niedobrze opiekowali się swymi

gospodarstwami. Najpierw budowali wygodne domy dla siebie, podczas gdy starzy właściciele zawsze najpierw myśleli o owcach, o paszy i wodzie dla nich, a dopiero potem o sobie.

Mój współpracownik, Stan Ślusarski był też barwną postacią. Mężczyzna około czterdziestopięcioletni, niski, bardzo szczupły, z małym wąsikiem i z nieodłącznym papierosem w cygarnicze — typowy warszawski "cwaniak". Jego weekendy w Adelajdzie musiały być bardzo wyczerpujące fizycznie i dobrze podlane alkoholem, bo przez dzień lub dwa po przyjeździe do "buszu" był zawsze bardzo zmęczony i śpiący. W Polsce był we wojsku sanitariuszem, a w Adelajdzie znany był z przeprowadzanych nielegalnie aborcji, prawdopodobnie głównie na swych kochankach, których miał cały szereg i o których mi opowiadał. Kilka lat później postawiono go za te aborcje pod sąd, skazano i odsiedział karę we więzieniu w Adelajdzie, gdzie go odwiedziłem. W Port Augusta tłumaczyłem mu na angielski listy do jego ówczesnej "damy serca".

Pracowaliśmy również w weekendy, ale miałem dość czasu aby w niedzielę być na mszy w starym kościele zbudowanym z miejscowego kamienia na górze w Port Augusta. Kościół służył za tło w filmie *Kangaroo*<sup>8</sup> nakręcanym niedawno w okolicy. Jednej niedzieli spotkała mnie w kościele miła niespodzianka: chór żeński śpiewał łacińską mszę *In Dominicis Infra Annum*, którą śpiewaliśmy ze szkolnym chórem w Lippstadt.

Nasz szef, starszy mierniczy Ben Dasborough, odwiedził nas, gdyż musiał wypracować z Bobem jakieś zmiany w trasie linii przesyłowej. Sekcja miernicza ostatnio bardzo się rozrosła, a *chainman'ami* byli przeważnie imigranci. O naszej grupie rodaków, to jest o Gotowiczu, Lisiewiczu, Szwedowskim, Opolskim i mnie, mówiono czasem *gentlemen chainmen*<sup>9</sup>. Może byliśmy bardziej wykształceni i staranniej ubrani niż zwykli pomiarowi. Nasze polskie nazwiska przedstawiały jednak dla szefa niemałą trudność, a że miał poczucie humoru, to zamiast "Jędrzejczak" mówił na mnie czasem "Young haystack", co po angielsku brzmiało nieco podobnie, ale oznaczało "młody stóg". Moje imię, Wacław, też trudno było Australijczykom wymówić, tak, że nie wiem jak to się stało, ale w końcu znany byłem w pracy z pierwszych trzech liter mego nazwiska: "Jed", wymawianych "dzed", co służyło za mój przydomek jak też za skrót nazwiska. Poczucie humoru naszego szefa "Das'a" potrafiło być czasem figlarno-złośliwe, bo na przykład trio nazwisk: Gotowicz, Lisiewicz i Ślusarski przerobił na "Gotopricks, Lousywick and Slitarski", co po angielsku brzmiało zdecydowanie nieprzyzwoicie. Chyba nie nazwał ich tak prosto w oczy, ale do innych to powiedział. Oścień jego złośliwego humoru nie ograniczał się do klucia tylko mężczyzn. Gdy ładna, o raczej wydatnym biuście panna nazwiskiem Ford zaczęła pracę w naszym dziale i przedstawiano mi ją, zapytał: "A pani jest jaką częścią forda? Czy zderzakami?". Pozatym "Das" pił jak ryba i korzystał z wyjazdów na prowincję aby porządnie "zatankować". Pod względem tego tworzyli ze Ślusarskim dobraną parę.

Gdyśmy przyjechali do Port Augusta na początku lipca, było to właśnie w tygodniu, w którym urządzano tam miejscowe wyścigi konne, hotele były zajęte i musieliśmy się zatrzymać w miejscowości Mambray Creek. Był tam obóz dla naszych ekip konstrukcyjnych budujących linie przesyłowe, gdzie zamieszkaliśmy w malutkich, przenośnych, dwuosobowych baraczkach. Kuchnia też była przenośna, na dwóch przyczepach, ale bardzo dobrze urządzona, a dwa baraczki przylegające do kuchni stanowiły jadalnię. Zima tamtego roku była mokra i niezwykle zimna. Poruszając się w tej okolicy bogatej w piękne, ogromne drzewa eukaliptusowe pochylające się nad strumykiem i idąc przez pola porośnięte obfitą roślinnością, skórzane buty przemakały mi już po chwili. Na szczęście mogłem pożyczyć w obozie gumowe buty do kolan! Pogodne noce były prawie mroźne. Miejscowi ludzie mówili, że już od lat tak przykryj zimy nie doświadczyli. W miasteczku Peterborough, po przeciwnej od nas stronie gór, spadł śnieg. Zazwyczaj było w tej okolicy dużo cieplej niż na południu stanu i przyjeżdżano z Adelajdy aby korzystać z umiarkowanych temperatur zimowych. Ale nie tamtego roku. W nocy termometr wskazywał zero stopni, a w baraczkach nie było wiele cieplej. Mieliśmy światło z przenośnej prądnicy obozowej, ale nie było żadnego ogrzewania, więc wymyśliłem sposób na to, żeby nam było ciepło. Drzewa mieliśmy pod dostatkiem, ale było świeżo ścięte, więc mokre. Polałem drzewo naftą i rozpałem na dworze spore ognisko, a gdy pozostały tylko żarzące się węgle, wsypałem je do 20 litrowej kwadratowej puszkę po nafcie z wyciętymi po bokach dziurami i ostrożnie postawiłem puszkę na płaskim kamieniu pośrodku baraku. Nawet Bob, który początkowo nie był przekonany, że to bezpieczny sposób ogrzewania, przyszedł i siedział w naszym ciepłym baraku aż do dziesiątej wieczorem razem z panem Hobartem, właścicielem terenu a równocześnie pocztmistrzem, agentem firmy rolniczej i dostawcą mięsa, który przyszedł do nas w odwiedzinach. Nie mieliśmy jeszcze podpisanych wszystkich dokumentów udzielających pozwolenia na przejście linii. Jeden z właścicieli był w domu tylko wieczorem, więc pojechaliśmy do niego obaj z Bobem po kolacji, a potem do kina w Port Pirie, wracając o północy.

W połowie lipca zostałem pracownikiem biurowym. Dasborough prosił żebym pozostał w Adelajdzie i pomógł innemu pracownikowi, nazwiskiem Ron Pearce, w rysowaniu planów posiadłości i linii przesyłowych na formularzach, które później podpisywali właściciele. Była to pewnego rodzaju promocja, bo nie siedziałem już w pokoju pomiarowych, ale u góry w biurze mierniczych i przy biurku. Razem z Ronem spędziliśmy też dużo czasu w *Lands' Titles Office*<sup>10</sup> przy centralnym placu Adelajdy Victoria Square, wertując niegrube, oprawione w skórę tomy tytułów własności przechowywane tam na wielu rzędach półek, spisując dane tytułów i odrysowując plany posiadłości. Szliśmy do urzędu nieco okrężną drogą, przez King William Street, środkową ulicę symetrycznego śródmieścia, gdzie Ron nieodmiennie kupował torebkę swych ulubionych orzechów *cashews*<sup>11</sup>. Ron był utalentowanym muzykiem, bardziej zainteresowanym grą na swym akordeonie po pracy i

udzielaniem lekcji gry na nim niż kreśleniem planów. Lubił też żarty. Pracował u nas młody mierniczy nazwiskiem John Higgins, zawsze nienagannie ubrany w białą koszulę, krawat i marynarkę. A Ron miał właśnie pewne nieczne zamiary co do krawatu Johna. Powiedział mu, że mógł jego krawat przeciąć na pół nożycami i potem, po posypaniu go magicznym proszkiem i wypowiedzeniu odpowiednich zaklęć, na nowo złączyć. Johnowi początkowo nie bardzo podobał się taki pomysł, ale w końcu zgodził się na ten proceder. Krawat został odpowiednio przecięty, posypany proszkiem i zaklęty, ale ku naszemu "wielkiemu" zdziwieniu, nie połączył się z powrotem w jedną całość! Konsternacja! Zupełnie dobry krawat zrujnowany! No właściwie nie był to znów taki dobry krawat. I jak się dowiedzieliśmy później, całe przedstawienie zostało uprzednio uzgodnione między Ronem i Johnem dla naszej uciechy.

Pracę miałem wtedy urozmaiconą, bo czasem na krótko wyjeżdżałem z mierniczym na pomiary w Adelajdzie i okolicy, a pozatym dalej pracowałem w biurze. I dobrze, że dużo nie wyjeżdżałem, bo zima była rzeczywiście "sroga": nawet śnieg spadł w Adelajdzkich wzgórzach! Idąc wzdłuż Grenfell Street widać było w dali zbocza wzgórz, wszystkie ośnieżone — widok niezwykły dla Adelajdy. Ron i inni pracownicy biura oświadczyli, że widzą śnieg pierwszy raz w życiu. Ludzie wychodzili z biur i sklepów na ulicę, stali grupkami na chodnikach, patrzeli w stronę białych gór i pokazywali je sobie nawzajem. Drogi prowadzące w góry zapchane były samochodami ciekawskich, którzy chcieli nie tylko zobaczyć, ale też dotknąć miękką biel. Niestety, śnieg nie leżał długo. Na drugi dzień ociepliło się trochę i niezwykła, biała powłoka szybko stopniała.

Około 50 kilometrów na wschód od Adelajdy leży we wzgórzach przylegających do miasta i zwanych Mount Lofty Ranges ładne, małe miasteczko Birdwood. Mierniczy Keith Cartwright, Tadeusz Opolski i ja zamieszkaliśmy tam w hotelu o nazwie "Hotel Napoleon". Razem z mierniczym zajechaliśmy rano po drodze zabrać Tadeusza. Nie było go w domu, ale za chwilę wrócił z baru nieco chwiejnym krokiem i z zakłopotanym uśmiechem na twarzy. "Spiałem się", wyznał mi wsiadając do naszego pojazdu terenowego marki land rover. Nie przeszkodziło mu to jednak w opowiadaniu nam po drodze kawałów, jeden po drugim. Późnym popołudniem w hotelu popił sobie jeszcze więcej, położył się w naszym pokoju i usnął. Zbudziłem go na kolację, ale zeszedł na dół dopiero później, gdy skończyliśmy już jeść i jadalnię zamknięto. Usiadł więc ze mną w salonie przy kominku. Nie był jeszcze zupełnie trzeźwy, bo opowiadał te same kawały co przedtem i bardzo się dziwił, że je już wszystkie słyszałem.

Zbliżała się wiosna i w górach koło Birdwood było pięknie. Jednego popołudnia jeździliśmy po okolicy szukając trasy linii, którą mieliśmy palikować. Mieliśmy kłopoty ze znalezieniem jej i jak się okazało, jeździliśmy w kółko. Ale przejażdżka była bardzo przyjemna, bo popołudnie było ciepłe i słoneczne, powietrze zaś w lesie świeże i



aromatyczne. Wszędzie otaczała nas zieloność i kwitnące krzewy. Co chwilę przez drogę przebiegały w podskokach króliki, a w powietrzu śmigały małe papugi i wolniej przelatywały, szare, duże jak wrona, ale o innym kształcie, śmiejące się australijskie ptaki *kookaburra*. Popołudniowa, wiosenna idylla!

Moje nadzieje na to żeby zostać "kadetem" mierniczego spełzły na niczym. Przyszedł do naszej sekcji nowy, wykwalifikowany mierniczy nazwiskiem Ray Pauley, ale miejsce jego ucznia zajął inny młody chłopak. "Das" powiedział, że spróbuje dać mnie jako ucznia drugiemu mierniczemu, który miał też niezadługo zaczynać pracę u nas. Rozmawiałem z urzędnikiem szkoleniowym, panem Bailly w tej sprawie, ale okazało się, że ten drugi mierniczy też już miał ucznia. Byłem zawiedziony, że nie pozostanę w sekcji mierniczej jako uczeń, bo już przyzwyczałem się do myśli, że to byłby mój warsztat pracy na całe lata. Przynajmniej miałem nadzieję na to. Ponieważ to się nie udało, postanowiłem dowiedzieć się jaka była możliwość studiowania inżynierii lądowej i równocześnie pracowania w Truście jako *Cadet Engineer*<sup>12</sup>.

Gdy nigdzie nie wyjeżdżałem z Adelajdy, odwiedzałem kilka razy Alę i ona była również u mnie. Na jednej z polskich zabaw opowiadała mi o sobie, rozmawialiśmy też o książkach i okazało się, że właśnie czytała tą samą książkę co ja. I śniłem się jej jednej nocy! Naturalnie takie oświadczenie sprawiło mi dużą przyjemność. W następnych dniach moje uczucia do niej zaczęły rozwijać się w coś więcej niż tylko przyjaźń, ale niestety, jej uczucia nie podążały w tym samym kierunku. Potem Jurek S. stał się jej częstym towarzyszem. Znała się z nim już dawniej i teraz wyglądało, że ich stara znajomość odżywała na nowo. Kilka razy prosiłem ją do kina, ale jej obowiązki rodzinne i inne sprawy niezależne od niej zawsze jej przeszkadzały. Gdy później wysłałem jej pisemne zaproszenie, odpowiedziała, że tym razem coś innego nie pozwoliło jej pójść, że nie mogła mi tego wytłumaczyć w liście, ale powie mi przy najbliższej okazji. Czułem się tym przygnębiony, ale wyjaśnienia nie były potrzebne. Wszystko było dla mnie aż nadto jasne. Niedługo potem usłyszałem, że Ala wychodziła za Jurka S., a ich ślub odbył się dwa tygodnie później. Miałem nadzieję, że będą bardzo szczęśliwi.

Byłem z Cześćkiem w mieście na filmie *Teresa*. W roli tytułowej występowała nowa, bardzo młoda, włoska artystka Pier Angeli. Film był dla mnie przeżyciem, bo Teresa bardzo przypominała mi Antosię: szczupła, ciemnowłosa i ciemnooka młoda dziewczyna, często głodna i żyjąca w trudnych warunkach tak jak my "dipisi" w Niemczech. Gdy wróciłem do domu, otworzyłem pamiętnik i odgrzebywałem wspomnienia o Antosi. Leżąc potem w łóżku długo, długo o niej myślałem. Ciekawy byłem czy ona tam w Ameryce, z mężem i córką, czasem o mnie myślała, czy przypominała sobie minione chwile ... Może to wszystko doszczętnie uleciało z jej pamięci? Zresztą dlaczego by nie? Miała teraz swą rodzinę i przypuszczałem, że była szczęśliwa.

Ale kilka dni później śniłem o niej. Po przebudzeniu czułem jej obecność prawie namacalnie i to tak odświeżyło wspomnienia o niej, że przez cały dzień jej obraz stał przed moimi oczyma. Zastanawiałem się nad tym czyby nie zdobyć jej adresu i do niej nie napisać, ale po zastanowieniu się zdecydowałem, że to nie miało sensu. Była przecież mężatką, a próżne byłoby udawanie, że pisałem do niej tylko jako do jednej z koleżanek szkolnych. Co by jej mąż na to powiedział, ktokolwiek nim jest? Nie wiedziałem zresztą jakie wspomnienia pozostały jej po naszej miłości. Dla mnie te wspomnienia były czymś świętym i nieśmiertelnym. Ona była przecież pierwszą dziewczyną, którą prawdziwie kochałem i wspomnienia tej miłości i może jej szczątki pozostały w moim sercu i chyba pozostaną na zawsze. Gdy tylko ujrzałem dziewczynę choć trochę podobną do niej, tęsknota za nią wracała z wielką siłą, i wtedy dopiero rozumiałem właściwy sens pieśni, którą śpiewał amerykański tenor Mario Lanza: *Be my love, for no one else can end this yearning ...*<sup>13</sup>. Musiałem jednak znów stwierdzić, że nawet myślenie w ten sposób było zupełnie nierealistyczne, a nawet nonsensowne, ale odkryłem przy tym, że trzeźwość i rozsądek nie leżały w naturze uczuć.

Praca z nowym wykwalifikowanym mierniczym, Ray'em Pauley, była zupełnie inna od prac, przy których pomagałem dotychczas. Ponieważ Ray zajmował się głównie wymierzaniem granic posiadłości, pracował bardzo dokładnie, nie tak jak "pomniejsi" miernicy, którym zazwyczaj wystarczała dokładność "do jednego słonia". Przy końcu września Ray, jeden kreślarz i ja wyjechaliśmy do miasteczka Clare, około 120 kilometrów na północ od Adelajdy pomierzyć ziemię, którą Trust zamierzał zakupić. Przy pięknej, wiosennej pogodzie jechaliśmy między zielonymi polami gdzieś tam poprzestronymi żółtymi kwiatami polnymi, i drogami nieraz przez szereg kilometrów obrosłymi po bokach ogromnymi, rozłożystymi, srebrno-zielonymi ostami z koroną liści o średnicy jednego metra. Przenocowaliśmy i stołowaliśmy się w znanym w Clare hotelu Bentley. Inny wyjazd miałem do miasteczka Morgan nad Murray, główną rzeką Australii o długości 2530 kilometrów. Kiedyś był tam port żeglugi rzecznej, a później, od połowy lat czterdziestych, główne znaczenie miejscowości stanowiła stacja pomp dostarczająca wodę na północ stanu przez długi rurociąg o średnicy 750 milimetrów, który widziałem kilka miesięcy wstecz wijący się na powierzchni ziemi przez pola i wzgórza koło Port Augusta, ze średnicą zmniejszoną już tam do około 600 milimetrów.

Ale prawdziwą ekspedycję stanowił wyjazd z Ray'em do miasteczka górniczego Leigh Creek, najdalej na północ wysuniętej placówki Trustu, około 600 kilometrów od Adelajdy, miejscowości gorącej, suchej i prześladowanej plagą kurzu, czy to węglowego, czy kurzu z pustyni. Dla tych, którzy tam nigdy nie byli, Leigh Creek owiany był legendą. Opowiadano o wyprawach po dziurawych drogach odległej prowincji, o przeprawach przez wezbrane strumienie i o zmienianiu opon przedziurawionych na ostrych kamieniach. Jako stały *chainman* Ray'a miałem wszelkie dane ku temu aby pojechać z nim i jego siedemnastoletnim

uczniem Johnem Robinsonem, ale w końcu pojechałem tylko dlatego, że kreślarz, który przygotowywał plany pracy, nie mógł wziąć udziału w wyprawie.

Pod koniec listopada wyruszyliśmy jednego popołudnia z Adelajdy, przenocowaliśmy w malowniczym miasteczku Wilmington i potem jechaliśmy dalej w gorący dzień zakurzonymi, nieasfaltowanymi drogami przez Quorn i Hawker, zatrzymując się na obiad w miejscowości Parachilna. Kurz wzbijał się w górę tumanami za samochodem, wdzierał się do środka i pokrył grubą warstwą walizki i inne rzeczy ułożone z tyłu naszego angielskiego samochodu-kombi marki vanguard. Parachilna składała się ze starego, zaniedbanego hotelu i jeszcze dwóch czy trzech domów. Wokół hotelu prażyły się na słońcu jakieś porzucane w nieładzie stare narzędzia, części wozów rolniczych, zepsuty samochód, kawałki drzewa. Pomimo nieciekawego wyglądu hotelu, podano całkiem dobry posiłek. Do celu mieliśmy jeszcze 80 kilometrów przez niskie wzgórza, przejeżdżając wyschłe koryta strumieni zapelniające się wodą tylko po ulewnych deszczach, przez puste, czerwono-żółtawe tereny, słońce i kurz. Krótco przed trzecią ujrzelśmy pierwsze góry nadkładu, ziemi zbieranej z pokładu węgla przez ogromny zóraw linowłokowy w odkrywkowej kopalni węgla brunatnego w Leigh Creek.

Biuro głównego inżyniera, gdzie się zameldowaliśmy, znajdowało się blisko kruszarek węgla i przy drodze, którą przejeżdżały ciężarówki, więc widać było wszędzie kurz węglowy i kurz z nieasfaltowanych dróg. Podano nam zaraz herbatę dla przepłukania gardła. Kwaterę mieliśmy w "domu gościnnym", schludnym budynku rodzinnym z elementów prefabrykowanych, z trzema sypialniami, łazienką i dodatkowymi natryskami w szopce na dworze. Około 750 mieszkańców Leigh Creeku mieszkało w podobnych domach i również w namiotach. Większe budynki użyteczności publicznej były murowane, niektóre drewniane, albo były to "beczki śmiechu" z blachy falistej, większość z nich zaopatrzona w klimatyzatory. Nasz niestety nie działał. A było gorąco! W drugi dzień naszego tam pobytu temperatura doszła do 105.2°F (41°C).

Zadaniem mieszkańców miasteczka Leigh Creek było wydobywanie węgla i dostarczanie go koleją do elektrowni budowanej w Port Augusta. Zwiększano produkcję kopalni, więc trzeba było zwiększyć ilości pracowników i potrzeba było więcej domów dla nich. Miasto miało się więc rozrość, a my przyjechaliśmy aby wymierzyć działki w nowej, południowej jego części. John i ja wbiliśmy wiele, wiele palików w twardą ziemię, a przy trwającym upale, przy każdym z nich pozostały ślady naszego potu, który stróżkami spływał z czoła. W weekend ochłodziło się i dopiero wtedy zdołałem pierwszy raz spokojnie przespać całą noc. Miałem też szczęście, że mogłem wziąć udział w niedzielnej mszy razem z około 50-ciu mieszkańcami miasta. Była to właśnie jedna niedziela na sześć, kiedy ksiądz przyjeżdżał do Leigh Creek i odprawiał mszę w świetlicy australijskich kombatantów.

Poznałem kilku rodaków pracujących w Leigh Creek i mieszkających przeważnie w namiotach. Jeden z nich pochodził z pod Gniezna i znał rodzinę mojej matki. Drugi, ze Lwowa, był ciekawym człowiekiem, około 45-letnim, otyłym, gadatliwym, bardzo wesołym i mówiono, że bardzo mocnym. Rzeczywiście wyglądał na takiego. Był on dobrym rzemieślnikiem i w wolnych chwilach wykonał cały szereg pięknych przedmiotów z metalu, takich jak modele samolotów.

Najciekawszymi rodakami tam pracującymi byli Adam Jamrozik i Stanisław Ostojak-Kotkowski. Adam był mniej więcej w moim wieku, pracował w administracji i mieszkał w murowanym budynku dla personelu biurowego, gdzie też się stołowaliśmy. Spędziłem u niego wieczór na ciekawej rozmowie, poruszając wiele tematów z życia kopalni i życia emigrantów wogóle.<sup>14</sup>

Stałym mierniczym na miejscu był John Kapocsanyi (który później zmienił swe nazwisko według angielskiej fonetyki na Kapochany), arystokrata węgierski, były kapitan i inżynier wojska węgierskiego. Na mnie zrobił on dobre wrażenie, ale nasz Ray Pauley miał na początku wielkie wątpliwości co do jego umiejętności jako mierniczego. Musiałem się potem po cichu śmiać gdy po rozmowach z Johnem, po obejrzeniu jego obliczeń i pomiarów, Ray zupełnie zmienił zdanie o nim.

Pod koniec naszej pracy w Leigh Creek mieliśmy okazję zobaczyć z bliska jak się tam kopie węgiel. Duży zóraw linowłókowy zabierający w kubel dziesięć ton ziemi na raz, najpierw zbierał nadkład z wierzchu odkrywając pokłady węgla. Wtedy koparki mechaniczne ładowały węgiel na ogromne ciężarówki, przewożono go do kruszarek, ładowano do koszów samowyladowczych, które wysypywały go wprost do wagonów pociągu węglowego.

We wzgórzach, około 25 kilometrów od miasteczka, znajdował się naturalny zbiornik wody, jezioro zwane przez Aborygenów *Aroona water hole*<sup>15</sup>, leżące u podnóża góry Aroona i zawsze w jej cieniu. Położenie było pomyślne, bo w cieniu jezioro było chłodne, woda mniej parowała i zapas jej utrzymywał się tam przez cały rok. Gdy byliśmy w Leigh Creek, Trust projektował konstrukcję betonowej zapory, która zwiększyłaby pojemność jeziora i w ten sposób zapewniła dodatkowe źródło wody dla kopalni. Pojechaliśmy naszym vanguardem zobaczyć tą "dziurę wodną Aroona", ale nie będąc pewni drogi wybraliśmy trasę, która wydawała się nam najkrótszą, ale okazała się nie najlepszą. Miejscami droga wspinała się stromo pod górę, to znów spadała równie stromo w dół, tak że samochód nieomal stawał dęba. W innych znów miejscach warstwa miąższości jak talk kurzu zwanego *bull dust*<sup>16</sup> była głęboka na więcej niż ćwierć metra, tak że gdy koła wozu znajdowały się w koleinach, spód motoru szorował po powierzchni tej warstwy. A za nami chmura kurzu była tak gęsta, że jak to mówili miejscowi, "króliki mogłyby w niej kopać nory"! Gdy wreszcie zjechaliśmy w dolinę, droga okazała się tak usiana dużymi, ostrymi kamieniami, że było zbyt ryzykownym jechać dalej. Już obawialiśmy się, że przedziurawiliśmy chłodnicę, z której zaczęła kapać woda, ale okazało się, że to tylko jej nadmiar uchodził ze zbyt nagrzanego silnika. Poszliśmy

więc dalej pieszo do jeziora, przez pół godziny to maszerując pod górę, to schodząc w dolinę. Ludzie na miejscu wskazali nam inny dojazd, dłuższy, ale gładszy i bez okropnego kurzu.

Po tygodniu w kopalni węgla w Leigh Creek wracaliśmy do domu nieco inną drogą, przez Blinman we wzgórzach łańcucha gór Flindersa, przejeżdżając wyschłe koryta strumieni górskich z pięknymi, starymi, majestatycznymi eukaliptusami przy ich brzegach, mijając znaną miejscowość turystyczną Wilpena Pound i znów napotykając *bulldust* na drodze niedaleko niej. W powrotnej drodze wracałem myślą do wszystkiego, co widziałem podczas podróży i doszedłem do wniosku, że powinienem być wdzięczny mojemu pracodawcy za to, że jako pracujący turysta miałem okazję zapoznać się z zapleczem, zwanym *outback*<sup>17</sup>, mojego nowego kraju.

Odbyłem jeszcze jedną rozmowę z naszym urzędnikiem do spraw szkolenia, tym razem na temat studiowania inżynierii po kilka przedmiotów rocznie, czyli na tak zwany *part-time*<sup>18</sup>. Oznaczało to, że pracowało się w biurze, równocześnie otrzymując kilka godzin tygodniowo wolnych na wykłady. Sprawa nie wyglądała zbyt obiecująco. Dlaczego Trust miałby wziąć jako studenta mnie, 24-letniego mężczyznę, jeśli mógł mieć 17-letniego młodzieńca i płacić mu połowę tego co mnie? Ale urzędnik powiedział mi abym przedstawił moje świadectwo maturalne do zatwierdzenia przez uniwersytet adelajdzki, gdzie studiowało się inżynierię, i potem oficjalnie złożył podanie do Trustu o pomoc w studiach. Na uniwersytecie dowiedziałem się, że zamierzając studiować inżynierię, trzeba było zdać egzamin nie tylko ze zwykłej matematyki maturalnej, ale jeszcze z "matematyki specjalnej". Cały ten materiał, łącznie z tą ostatnią matematyką, przerabialiśmy w Lippstadt, więc uważałem, że nie powinienem mieć z tym większych trudności. Problem był jednak tego rodzaju, że po trzech latach bez żadnego kontaktu z matematyką, sporo jej zapomniałem. Egzaminy wyznaczono na drugą połowę lutego 1952 roku i do tego czasu musiałem powtórzyć cały materiał, jeśli chciałem mieć jakąkolwiek szansę zaczenia studiów inżynierii w marcu, na początku roku akademickiego 1952.

Tak więc przez cały grudzień, przez osiem dni wakacji świątecznych i przez początek następnego roku powtarzałem matematykę. W czasie świąt Weronka przyjechała do Adelajdy na kilka dni. Byliśmy razem w kinie, na spacerze w ogrodzie botanicznym, odwiedzaliśmy kolegów i koleżanki, a w pierwsze święto ona i inni eks-lipsztaciacy byli u nas. Jej pobyt zawsze ożywiał mój sentyment do niej, ale nie do tego stopnia, aby oznaczało to coś poważnego. A Czesiek odwiedził w Benalli, w stanie Victoria, swą ówczesną "damę serca", a może przyszłą żonę, Irkę J. Szczęśliwy, że miał dziewczynę, którą kochał.

Zdawaliśmy egzaminy z matematyki obaj ze Zbyszkim B. i obaj "oblaliśmy". Właściwie materiał znaliśmy, ale sposób w jaki odbywały się tu egzaminy był zupełnie inny i za mało mieliśmy praktyki w rozwiązywaniu zadań tego typu. A na egzaminie nie było czasu

na próbowanie różnych metod rozwiązania. Trzeba było natychmiast rozpoznać typ podanego zadania i zastosować odpowiednią metodę wyuczoną w klasie aby zdołać rozwiązać dużą ilość zadań podanych w egzaminie. Trzeba było pisać bez namyślenia się, a my przecież nie chodziliśmy tu do szkoły i nie byliśmy na to przygotowani. Zdecydowaliśmy zdawać jeszcze raz w listopadzie i może zacząć studia w 1953 roku. A ja oprócz tego egzaminu, nie zdałem jeszcze jednego: z prowadzenia samochodu. Aby otrzymać stanowe prawo jazdy wystarczyło zdać pisemny egzamin z przepisów drogowych, ale aby prowadzić wozy Trustu, konieczne było zdanie również egzaminu z jazdy. Po prostu nie miałem dosyć praktyki w kierowaniu samochodem, a w mieście jechałem dopiero pierwszy raz podczas egzaminu. Egzamin jednak zdałem nieco później.



Przed refektarzem uniwersyteckim

Nie wiedziałem, czy to było z powodu tych niezdanych egzaminów, czy z jakiegoś innego powodu, ale czułem się jakoś przygnębiony. Nieraz nie chciało mi się już nawet myśleć o studiach, bo to jeszcze tyle lat miało upłynąć zanim bym je skończył. W moim wieku raczej czas było żenić się, a nie chodzić do szkoły. Z drugiej strony, nie chciałem być "niczym" przez całe życie. Chciałem mieć w ręku profesję, a tego nie zdobywało się bez wysiłku.

I w końcu okazało się, że mogłem zacząć studia w 1952 roku! Na podstawie mojego świadectwa maturalnego z Lippstadt, uniwersytet adelajdzki przyznał mi warunkowe prawo rozpoczęcia studiów, po zdaniu egzaminu z angielskiego, w którym miałem zademonstrować wystarczającą znajomość tego języka. Wszystko to miało być zatwierdzone na dobre po zdaniu trzech przedmiotów matematycznych pod koniec roku. Na szczęście egzamin z angielskiego nie stanowił dla mnie większych trudności, a nawet rozweselił trochę egzaminatora. Jedno z zadań wymagało napisania jakiejś humorystycznej opowiadki. Umieszczono to w egzaminie bez żadnego ostrzeżenia, więc miałem szczęście, że pamiętałem historyjkę z mojej niemieckiej książki *Lach-Lexikon* zdobytej w obozie w Herfordzie, o jednym gospodarzu, który odwiedził swego sąsiada. Obaj wypili tego wieczora sporą ilość

sznapsa i byli w nadzwyczaj wesołych humorach. Gość wracał do domu w bardzo ciemną, jesienną noc, więc sąsiad dał mu latarnię naftową aby oświetlił sobie drogę. Na drugi dzień służący odniósł "latarnię": klatkę z kanarkiem! A moja historyjka była podwójnie śmieszna, bo nie będąc pewnym jak się pisze *canary* (kanarek) napisałem *cannery* (fabryka konserw), która raczej nie zmieściłaby się do klatki!

Zacząłem więc studia inżynierii w pierwszej połowie marca, na początku pierwszego z trzech trymestrów roku akademickiego. Ponieważ musiałem się przygotowywać z matematyki maturalnej, wziąłem dwa łatwe przedmioty: kreślarstwo i praktykę warsztatową, zajmujące mi osiem godzin tygodniowo w czasie dnia, w tym trzy godziny w sobotę rano. Idąc za radą mojego mierniczego, zapisałem się też na matematykę maturalną prowadzoną przez szkołę górniczą w środy i piątki wieczorem. W ten sposób najlepiej mogłem się nauczyć tutejszych metod rozwiązywania zadań egzaminacyjnych.

Do szkoły chodziłem już prawie miesiąc, a Trust jeszcze nie zdecydował, czy mnie będzie dalej zatrudniał i czy przyzna mi pięć opłaconych godzin tygodniowo na wykłady. Po naleganiach z mojej strony spotkałem się wreszcie z urzędnikiem do spraw szkolenia w dniu rozpoczęcia wykładów. Byłem przekonany, że Mr Baily chciał dla mnie jak najlepiej, a że lubił gadać, spędził ze mną dwie godziny opowiadając mi to, co już kilka razy od niego słyszałem. Zdawałem sobie sprawę, że starał się znaleźć kompromis między tym, co ja chciałem i co by odpowiadało Trustowi. Zdecydowano w końcu wysłać mnie na *aptitude test*<sup>19</sup>, chyba po to, żeby przekonać się czy jestem bardzo inteligentny, czy nie! Zaczęło mnie to już wszystko denerwować! Trust potrzebował więcej inżynierów z powodu swego ogólnego rozrastania się, ale podobno my obcokrajowcy też denerwowaliśmy kierowników Trustu i stwarzaliśmy im problemy chcąc studiować z ich pomocą, podczas gdy oni nie wiedzieli co my umieliśmy i czy nasze wykształcenie średnie dawało prawo studiowania na australijskich uniwersytetach.

Mój *aptitude test* przeprowadziło państwowe biuro pośrednictwa pracy, a gdy po dwu tygodniach nie miałem żadnej wiadomości o jego rezultacie, poszedłem dowiedzieć się co się dzieje. Powiedzieli mi, że sprawdzianu nie można było uważać za miarodajny, gdyż był on przeznaczony dla ludzi mówiących po angielsku od urodzenia, a nie dla obcokrajowców. Konkluzja słuszna, ale myślałem sobie, że mogli do niej dojść wcześniej i oszczędzić mi czterech godzin ślęczenia nad ich przeróżnymi zagadkami, z których ten egzamin się składał. W międzyczasie pracowałem dalej w sekcji mierniczej gdzie miałem dużo planów i dokumentów do przygotowania, więc nie wyjeżdżałem poza Adelajdę i mogłem chodzić do szkoły. Ale na początku maja musiałem przestać uczyć się na kreślarstwo i praktykę warsztatową. Trust zdecydował, że nie da mi wolnych i płatnych godzin na studia w 1952 roku i zaproponował, abym wziął jakiś poważniejszy przedmiot uniwersytecki wieczorami i w

ten sposób wykazał, że poradzę sobie ze studiami. Aby mógł chodzić na wykłady, zapewniono mi pracę w mieście albo wyjazd tylko blisko miasta. Wziąłem więc fizykę. Jeśliby mi się udało zdać matematykę maturalną oraz fizykę na uniwersytecie, była możliwość, że przyjmą mnie w następnym roku jako "inżyniera-kadeta" z pełnym wynagrodzeniem. Od tej chwili miałem nadzwyczaj zajęte wieczory i weekendy. W sobotę musiałem nawet czasem zrezygnować z kina!



Wracamy z wykładów maleńkim austinem 7

Choć zasadniczo nie wyjeżdżałem na prowincję, jednak wybrałem się na dwa dni z Ray'em Pauley do Waikerie nad rzeką Murray i zdążyłem wrócić na lekcję matematyki w środę wieczorem. Wolałem wyjazd zamiast siedzenia w zimnym biurze gdzie nie wolno było używać grzejników elektrycznych z powodu właśnie trwającego strajku pracowników elektrowni. Naszym zadaniem w Waikerie były pomiary i usytuowanie granic stacji transformatorów, co wykonaliśmy w typowo australijski sposób. Położenie stacji transformatorów ustaliliśmy w stosunku do dwóch stałych punktów geodezyjnych, które sami zabetonowaliśmy w ziemi, a położenie tych punktów ustaliliśmy w stosunku do przylegających pól granicznych. Nikt się jednak nie przejmował jak określić geograficzne położenie pól, więc w rezultacie położenie punktów geodezyjnych było nieokreślone! W Europie współrzędne sytuacyjne posiadłości określony na podstawie współrzędnych pobliskich punktów triangulacyjnych. W latach pięćdziesiątych, na ogromnych obszarach słabo zaludnionej australijskiej prowincji, mało było takich punktów, więc nie można było zrobić nic lepszego niż to, co zrobiliśmy.

Waikerie to miłe miasteczko, a właściwie osada nawadniana wodą z rzeki Murray, która przeobraziła jałowe, czerwone piaski w rozległe, wspaniałe sady pomarańczowe, morelowe i w winnice dające utrzymanie mieszkańcom. Noc była bardzo zimna, ale wesoło trzaskający ogień w kominku hotelu rozgrzewał nas.

Podczas wakacji po pierwszym okresie roku akademickiego Trust mógł nas studentów wysłać na praktykę gdziekolwiek. Na szczęście "Das" nie wysłał mnie na prowincję, więc mogłem pójść z Cześkiem na drugi z rocznych, abonamentowych koncertów symfonicznych



dla młodzieży. Dyrygował Sir Bernarda Heinze. Jeden z utworów, *Wieczór letni* angielskiego kompozytora Deliusa, zrobił na mnie szczególnie silne wrażenie. Wywołał on w mojej wyobraźni właśnie taki piękny, ciepły, pogodny wieczór w lecie, z niebem zaróżowionym zachodzącym słońcem. Na jego tle rząd wysmukłych topoli, zielone, usiane kwiatami łąki, szemrzący strumyk. Cichy, pachnący, upajający wieczór letni ... Wyczarowany muzyką, zupełnie mimowoli nasunął mi się w myślach obraz właśnie takiego, a nie innego wieczoru. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że to nie mógł być wieczór w Australii, ale był to jeden z wieczorów letnich spędzonych na spacerach na wsi koło Lippstadtu z nią, z dziewczyną, która była wtedy dla mnie całym światem ... Potem nie myślałem o niej więcej, ale tej nocy, we śnie, byłem znów szczęśliwy z nią, tak jak kiedyś przez krótki czas ...

W egzaminach przy końcu pierwszego trymestru miałem zmienne szczęście. Zdałem matematykę, ale nie fizykę. Zacząłem tą ostatnią około sześć tygodni po rozpoczęciu roku, więc miałem braki w przedmiocie. Młody mierniczy John Higgins przerabiający fizykę razem ze mną miał podobny wynik, więc postanowiliśmy od tego czasu skrupulatnie nadażać za wykładami, po pracy wspólnie przeglądać notatki i wyjaśniać wątpliwości, które by zaistniały. Miałem też taki problem, że uczęszczając na wykłady w poniedziałek, środę i piątek wieczorem, wracałem do domu dopiero o dziesiątej, więc miałem tylko pozostałe wieczory tygodnia i weekend aby wszystko nadrobić. Nie dawało to dosyć czasu aby przeczytać tekst i rozwiązać dodatkowe zadania z przerabianego materiału. W rezultacie prowadziłem życie nieciekawe i wypełnione po brzegi pracą, fizyką i matematyką i tylko nieczęsto odwiedzałem kino albo szedłem na koncert symfoniczny. Nieraz zazdrościłem chłopcom, którzy mieli swoje dziewczyny, ale z drugiej strony nie wiedziałem jakbym pogodził jedno z drugim — szkołę i dziewczynę. Już i tak nie miałem dość czasu na wszystko. Może na razie było lepiej tak jak było?

Rezultatem wyteżonej pracy były zdane egzaminy i z lepszymi ocenami przy końcu drugiego trymestru, zarówno z matematyki jak i z fizyki. Myślałem sobie, że byłbym bardzo szczęśliwy gdybym mógł powtórzyć te wyniki przy końcu roku. Jeśli chodziło o matematykę, czułem się dość pewny, ale w fizyce zdawałem sobie sprawę z mych braków, które zazwyczaj objawiały się właśnie podczas egzaminu! Gdybym zdał fizykę, może to na dobre otworzyłoby mi drogę do studiów i Trust może przyjąłby mnie jako studenta. Postanowiłem przyłożyć się porządnie do pracy i pokładać nadzieję w Bogu.

Mój kolega Zbyszek B. zrezygnował ze studiów. Stwierdził, że dla niego byłoby to związane ze zbyt wielkimi trudnościami, gdyż był sam, bez rodziny. Powiedział, że nie będzie się starał kierować życiem, ale będzie przyjmował to, co los przyniesie. Czy wziął jako przykład pana Napierałę-Kowalskiego, którego odwiedził w Sydney? Nasz dawny nauczyciel z Lippstadt podobno zrezygnował z wyższych aspiracji i był zadowolony ze zwykłej pracy, którą wykonywał.

Pod koniec sierpnia, w ostatni piątek drugiego trymestru byliśmy już zupełnie w nastroju wakacyjnym. Poranek był mroźny, ale dzień ciepły i słoneczny. Wykład fizyki skończył się po szóstej, nie było jeszcze zupełnie ciemno i miałem całą godzinę wolną przed lekcją matematyki, a był prawdziwie piękny, marzycielski, wiosenny wieczór. Ciemne sylwetki uniwersyteckich budynków odcinały się od czystego, wieczornego nieba. Gdy spacerowałem wśród drzew, nawiedziły mnie wspomnienia wiosennych wieczorów w Europie i myśli o przyszłości i o tym co ona przyniesie...



Praca fizyczna w czasie wakacji

Moje nadzieje na dobre wyniki końcowych egzaminów roku akademickiego ziszczyły się. Najlepszy prezentem na święta Bożego Narodzenia było to, że moje nazwisko znalazło się na uniwersyteckiej liście tych, którzy zdali fizykę, a później, w styczniu, dowiedziałem się, że zdałem wszystkie trzy egzaminy z matematyki. Pozostało mi tylko czekać na zatwierdzenie przez Trust moich dalszych studiów w 1953 roku.

Ale parę miesięcy wcześniej chodziły słuchy, że część personelu naszego działu miała być zwolniona. Wszystkie pilne prace zostały już skończone i nie wytyczało się nowych linii przesyłowych na prowincji. W piątek nasz szef kazał nam wszystkim zebrać się piętnaście przed piątą po południu. Przełękliśmy się, że pewno kilku z nas zawiadomi o zwolnieniu z pracy, ale on uspokoił nas mówiąc, że przynajmniej na razie, ograniczenia polegały tylko na niepracowaniu absolutnie żadnych nadgodzin. O zwolnieniach wiedział tyle co i my, kazał nam spać spokojnie i życzył przyjemnego weekendu. Gdy tylko wiedziałby coś konkretnego, zaraz nas powiadomi. Kilka tygodni później potwierdzono, że widmo zwolnień już nam nie groziło. Dyrektor Trustu oświadczył w prasie, że choć byliśmy zmuszeni zredukować plany rozwojowe i nie będziemy przyjmować więcej pracowników, to jednak postaramy się utrzymać cały obecny personel. Bardzo podniosło to nasze morale, ponieważ w tamtym okresie niezwykle trudno było znaleźć pracę, gdy nie posiadało się zawodu.

W sierpniu organizowano "wielką ekspedycję" do Leigh Creek. Jechali obaj starsi miernicy ze swymi uczniami, John Higgins i jeszcze ktoś. Ja sam pojechałbym z wielką chęcią i "Stary" pewno by się na to zgodził, ale szkoła stała mi na przeszkodzie. Wyjazd był

przed dwutygodniowymi wakacjami trymestrowymi i pobyt tam miał trwać około pięciu tygodni. Celem wyprawy było ustalenie punktów kontrolnych do fotografii lotniczych terenu kopalni. Byłaby to bardzo ciekawa praca, gdyż słyszałem, że miały też być przeprowadzane obserwacje nocne. Tak chciałem jechać z nimi, ale jak to często w życiu bywa, nie wszystko jest według własnych życzeń.

Byłem w naszym zarządzie miejskim i dowiedziałem się, że nie trzeba się było zbyt spieszyc z budową stałego domu i że na razie mogliśmy dalej mieszkać w tymczasowym domku. Zdecydowaliśmy więc oszczędzać pieniądze na kupno małego, używanego samochodu, a dopiero potem oszczędzać na dom. A przypadkowo dowiedziałem się jakie samochody kupowali emigranci w Ameryce. Co kilka miesięcy wymieniałem korespondencję z Weronką i w jednym ze swych listów przysłała mi fotografię swej koleżanki szkolnej stojącej przy ich samochodzie marki buick super! Zaniemówiłem!

W październiku moja inna koleżanka szkolna, Ala, urodziła syna Marka i zostałem jego chrzestnym. Wyrządzenie tej przysługi młodemu, szczęśliwemu małżeństwu było dla mnie zaszczytem.

W tym samym roku, w którym ja zacząłem studia inżynierii, moja mała siostra Tereska zaczęła chodzić do australijskiej szkoły podstawowej. W poprzednim roku właśnie skończyła pięć lat i rodzice zapisali ją do parafialnej szkoły w dzielnicy Alberton na początku 1952 roku. Znała jeszcze niewiele angielskiego — tylko tyle, ile nauczyła się od swych rówieśników, chłopców sąsiadów, ale podeszła do pierwszych dni szkolnych z pełnym opanowaniem. Gdy mama zaprowadziła ją do szkoły, oświadczyła jej: "Mamusiu, możesz już teraz iść do domu". Później chodziła do szkoły i z powrotem z Ineską, jej koleżanką z polskiej rodziny w naszej ulicy. Czasem wracała ze szkoły sama i wtedy dwóch małych chłopców z jednej z ulic, którymi szła, dokuczali jej i grozili pobiciem. Aby temu zaradzić, wpadła na pomysł żeby wziąć trochę plasteliny ze szkoły i tym ich udobruchać, ale nie miało to zamierzonego rezultatu. Musiałem z nią pójść jednego dnia i porozmawiać z chłopcami żeby przestali jej dokuczać. Później chodziła do innej katolickiej szkoły, imienia Św. Filomeny w Woodville Gardens, która była bliżej. Z rozpoczęciem szkoły wstąpił w życie Tereski nowy autorytet: "siostra", to znaczy jej nauczycielka, siostra zakonna. To, co "siostra powiedziała" było definitywnie wyrocznią! Gdy chciałem poprawić jej błędną wymowę słów modlitwy, którą odmawiała w szkole, zupełnie mi się to nie udało. Była bowiem pewna, że tak "siostra powiedziała" i koniec. Zresztą, jak ja mogłem wiedzieć, że siostra powiedziała coś innego, jeśli wogóle nie byłem przy tym obecny?

Tereska traktowała szkołę jako przyjemną zabawę. Wchłaniała australijską kulturę szkolną i podobało się jej wszystko nowe, na przykład *cordial*<sup>20</sup>, *ice block*<sup>21</sup> i to, że mogła sobie czasem kupić coś na obiad, zamiast jeść codziennie domowe kanapki. Uczyła się dobrze, ale nauka była dla niej sprawą uboczną. Nie podobał się jej jednak nacisk, jaki

kładziono na asymilację — również w szkołach. Stale jeszcze znała lepiej język polski niż angielski, więc tym językiem rozmawiała, bawiąc się z Ineską. Powiedziano im, że rozmawianie innym językiem w szkole jest wzbronione, bo mogłyby mówić coś o kimś, a ta osoba nie rozumiałaby, co mówiły. Ale przecież one nie mówiły o kimś innym i niesprawiedliwość tego oskarżenia szczególnie je poruszyła: "Jak można nam tego zabraniać!". Rezultat był taki, że to tylko utwierdziło je w postanowieniu rozmawiania między sobą po polsku!



Tereska przy drzewie cytrynowym

Niezdługo Tereska zaczęła też chodzić do jeszcze jednej szkoły: weekendowej polskiej szkoły, jednej z wielu, które społeczeństwo polskie założyło w różnych dzielnicach Adelajdy aby dzieci bliżej zapoznać z językiem i kulturą ich kraju pochodzenia.

Wprowadziliśmy szereg ulepszeń w naszej "rezydencji". Przybudowaliśmy do niej łazienkę, a pierwsza łazienka zamieniła się w kuchnię. Elektryczny podgrzewacz wody dawał nam w zimie gorącą wodę do natrysku, a w lecie dawało nam ją słońce podgrzewając wodę w żelaznej, 200 litrowej beczce stojącej na dachu łazienki. Zbudowaliśmy zamknięty przedpokój, który ochraniał drzwi wejściowe i w którym stała drewniana lodówka, a właściwie szafka do dużych bloków lodu regularnie przywożonych przez handlarza lodem. Do tylniej ściany domu dostawiliśmy sporą szopę zbudowaną ze skrzyń i służącą za warsztat i magazyn, a z kolei do niej dobudowaliśmy z tego samego materiału pralnię i ubikację, co zakończyło ulepszanie mieszkania.

Pod koniec 1952 roku ustalony porządek naszego życia domowego zburzyła na kilka długich tygodni choroba mamy. Najpierw zachorowała mama na grypę i jeszcze nie zupełnie wyzdrowiała, gdy nasza sąsiadka, pani Błaszczukowa, urodziła córkę. Z położeniem były jakies

komplikacje, dziecko urodziło się za wcześnie i obawialiśmy się, że sąsiadka mogła umrzeć. Podczas jej pobytu w szpitalu, jej mąż bardzo się martwił i o mało nie załamał się psychicznie. Z kolei moja mama bardzo się tym przejęła i jeszcze chyba się przeziębila odwiedzając sąsiadkę w szpitalu. Rozchorowała się na dobre, położyła się do łóżka, nie mogła jeść i w końcu dostawała ataki febry trwające kilkanaście minut albo dłużej, a po nich gorączkę i poty. Przejmowałem się mamą i jej tajemniczą chorobą, która wydawała mi się podobna do malarii. Prowadziliśmy wtedy gospodarstwo domowe sami. Ojciec został w domu przez tydzień, a po powrocie do pracy wykonywał większość potrzebnych prac wieczorami, gdyż ja przygotowywałem się do egzaminów, a Czeška często nie było w domu. Na szczęście mama zaczęła się czuć lepiej, wstała z łóżka i stopniowo wracała do zajęć domowych. Ojciec zabrał mamę do specjalisty i później wyjaśnił, że jej choroba mogła być spowodowana menopauzą, co wtedy było dla mnie nowym pojęciem.

Nadeszły wreszcie oczekiwane święta Bożego Narodzenia 1952 roku a z nimi mój zazłuszony odpoczynek. Doroczny urlop wzięłem właśnie w tym czasie, co oznaczało, że do pracy wracałem dopiero 21 stycznia. Nasza wieczerza wigilijna znów była skromna, bo mama nie czuła się jeszcze zupełnie zdrowa, ale jednak składała się z sześciu dań. Tylko że jeszcze nie przyzwyczailiśmy się do australijskiego Bożego Narodzenia, bo do typowej atmosfery świątecznej brak nam zawsze było śniegu i mrozu.

Podczas wakacji zapisaliśmy się z Czeškiem do klubu tenisowego w Woodville North i graliśmy na pobliskich kortach klubowych. Wymienialiśmy też wizyty z koleżankami i kolegami szkolnymi. Czesiek musiał wracać do pracy 2 stycznia 1953 roku, a ja jeszcze cieszyłem się dalej wakacjami chodząc z kolegami na plażę i do kina. Nasza rodzina utrzymywała kontakt z Miss Black, naszą dawną nauczycielką angielskiego w fabryce. Czasem ją odwiedzaliśmy, a ona też bywała u nas towarzysko i również ucząc angielskiego mamę i inne panie z sąsiedztwa. Przeprowadziła się z przedmieścia Glenunga do Glenelg i pojechałem do niej posprzątać jej trochę w ogrodzie. Miała tam bardzo ładny dom z trawnikowym kortem tenisowym, na którym graliśmy kilka razy z Czeškiem, a grało się na nim dużo przyjemniej niż na asfaltowych kortach naszego klubu.

Nasz polski klub sportowy "Polonia" też miał przydzielone korty tenisowe w południowej części pasma parków okalających śródmieście Adelajdy. Grałem tam z kolegami w jedną sobotę, gdy nagła letnia burza z ulewnym deszczem zapędziła nas do najbliższego baru, gdzie czekaliśmy przy szklankach piwa aż przestanie padać. Rynsztokami woda płynęła jak rzeką, tak że trudno było dostać się do tramwaju i wrócić do domu.

Przy końcu lutego Weronka przyjechała z Melbourne, gdzie już prawie skończyła swój kurs pielęgniarstwa. Przebywała u swych rodziców przez dwa i pół tygodnia, odwiedzałem ją,

chodziliśmy wieczorami do kina i cieszyłem się, że miałem znów, choć na krótki czas, towarzystwo atrakcyjnej, młodej dziewczyny.

Jak tylko wróciłem do pracy po urlopie, złożyłem formalne podanie o przyznanie mi na studia wolnych godzin w dzień. Mój szef, Mr Dasborough, w gruncie rzeczy dobry człowiek, poparł podanie i poszło dalej, do "wyższych władz" Trustu. Miałem nadzieję na pozytywną odpowiedź, bo inaczej wątpiłem czy mógłbym kontynuować studia. Musiałem czekać aż do marca na dobrą wiadomość, że dostałem dziesięć płatnych godzin tygodniowo na wykłady, a jedną godzinę musiałem odrabiać wieczorem lub w przerwie obiadowej. Zapisalem się na trzy przedmioty studiów inżynierii lądowej: matematykę I, kreślarstwo techniczne I i chemię nieorganiczną I, co oznaczało, że miałem co najmniej jeden wykład każdego dnia. To było w godzinach dziennych, a laboratorium chemiczne miałem w szkole górniczej w piątki wieczorem od 7.15 do 10.00. To ostatnie stwarzało dla mnie problemy, bo zapomniałem prawie wszystko, co wiedziałem z chemii. Mieliśmy skrypty z instrukcjami, ale zakładały one więcej wiadomości ze szkoły średniej niż te, które ja zachowałem.

Wykładowcę matematyki mieliśmy dobrego, jego wykłady były starannie zaprezentowane i zrozumiałe. Za to wykładowca chemii był do niczego. Starszy pan w ostatnim roku przed emeryturą, dla którego wykładanie było już chyba tylko pańszczyzną do odrobienia. Wydawało się, że nie dbał, czy rozumiano jego wykład, czy nie i nigdy nie zadał sobie trudu aby cokolwiek dodatkowo wytłumaczyć. Jego specjalnością było "wymruczenie" pod nosem kilunastu nazw związków chemicznych pod rząd, z których większość studentów mogła zrozumieć i zapisać jedynie połowę, a ja jeszcze mniej. Nigdy nie będąc zbyt mądrym z chemii, po jego wykładach niewiele zmadrzałem.

W pracy zostałem przeklasyfikowany z *chainmana* na "inżyniera-kadeta" z podwyżką płacy o kilkanaście szylingów do czternastu funtów tygodniowo. Podczas dwutygodniowych wakacji trymestrowych "kadeci" szli na praktykę, więc wysłano mnie do jednego z zakładów podmiejskich Trustu, gdzie pracowałem z ekipami roboczymi zakładając druty elektryczne na ulicach i kopiać doły na słupy. Szefem był tam niejaki Stewart Nottage, były oficer armii australijskiej, który na takiego rzeczywiście wyglądał: zawsze elegancko ubrany w sportową marynarkę, białą koszulę i krawat, a swe brązowe buty miał zawsze tak wyczyszczone, że błyszczały jak dwa słońca. Druty łączące kable linii energetycznych na słupach wyglądały w jego okręgu lepiej niż w którymkolwiek innym w Adelajdzie — wszystkie musiały być idealnie proste i idealnie poziome czy pionowe, zależnie od potrzeby.

Po wakacjach pracowałem znów w dziale planowania w budynku Hindmarsha. W lipcu i sierpniu polecono mi skompletować trzeci tom obiegowego albumu fotograficznego przedstawiającego działalność Trustu. Pierwsze dwa tomy złożył Ted Austin, mój bezpośredni przełożony, który jeszcze stale nosił tytuł "starszego kreślarza mierniczego", ale którego obowiązkami było wtedy fotografowanie, wywoływanie fotografii, filmów i tym podobne prace, w małej ciemni na pierwszym piętrze zapchanej przeróżnymi gratami, tak że

nawet trudno się było do niej wcisnąć. Ted był chudym staruszką chodzącym wiecznie w tym samym, starym ubraniu okropnie postrzępionym na brzegach rękawów, połach marynarki i u dołu spodni. Nie wiedziałem dlaczego nosił takie ubranie. Może nie mógł sobie pozwolić na coś lepszego? Pozatym był gadułą i zawsze pracował "w przyspieszonym tempie", ale jakoś niewiele było widać postępów w jego pracy. Jeszcze jedną jego cechą było to, że od lat zjawiał się co rano w biurze około godziny dziewiątej piętnaście, albo później, to znaczy przeszło pół godziny po oficjalnym początku zajęć. Dopiero w okresie mojej pracy z nim, ku zdziwieniu wszystkich, przychodził codziennie o 8.45 rano. Jak się dowiedzieliśmy, nastąpiło to po rozmowie, jaką miał z nim jego przełożony. W gruncie rzeczy Ted był dobrodusznym człowiekiem, ale jeśli chciało się aby wykonał jakąś pilną pracę prędzej, to lepiej było nie wyjawiać mu tego faktu, bo i tak nie wykonał jej wcześniej, a uniknęło się wielu nieprzyjemnych napięć z obu stron. Gdy zacząłem pracować nad trzecim tomem albumu wklejając fotografie i pisząc objaśnienia do nich, chodziło o to, aby wydać go w jak najkrótszym czasie. Tymczasem Ted ze swym systemem pracy spowodował, że musiałem czekać na jego fotografie i moja praca przeciągnęła się. Muszę jednak dodać na jego obronę, że wszystkie prace fotograficzne musiał wykonywać zupełnie sam, nawet filmowanie jedynym, starym aparatem filmowym, który Trust posiadał. Nikogo nie miał do pomocy.

Moim wyższym przełożonym w sprawach albumu fotograficznego był starszy inżynier, Mr James C. Stobie, człowiek w podeszłym wieku, niski, raczej otyły, z głową, która wydawała się nieproporcjonalnie dużą i która była pokryta bujnymi włosami mlecznego koloru. Był on dyrektorem do spraw badań technicznych, czyli jedną z najgrubszych ryb w Truście. Gdy mój Ted Austin rozmawiał przez telefon i co chwilę mówił "Yes, Sir", "All right Sir", albo "Thank you, Sir"<sup>22</sup>, mogłem być pewnym, że rozmawiał z panem Stobie. Jednym z najważniejszych osiągnięć pana Stobie był wynalazek i zaprojektowanie charakterystycznego dla Południowej Australii słupa ze stali i betonu nazwanego od jego wynalazcy *stobie pole*<sup>23</sup> i od lat osiemdziesiątych niesłusznie krytykowanego i nienawidzonego przez różnych "zielonych". Słup stobiego jest skutecznym i ekonomicznym elementem w konstrukcji linii energetycznych niskiego i wysokiego napięcia, a prezentuje się dużo lepiej niż dawniej używane, często niezbyt proste słupy drewniane. Mniejsze słupy stobiego były później wyrabiane przez automatyczną linię montażową skonstruowaną przez Trust na przedmieściu Adelajdy i były tak tanie, że do budowy linii przesyłowej na południu stanu opłacało się przewieźć je tam kilkaset kilometrów z Adelajdy zamiast użyć osiągalne na miejscu drewniane słupy. Jednego piątkowego popołudnia polecono mi zanieść do biura pana Stobie w innym budynku automatyczny niwelator, gdyż miał on zamiar zniwelować swój kort tenisowy przez weekend. W następnym poniedziałek otrzymaliśmy smutną wiadomość, że zmarł nagle przy pracy w domu, prawdopodobnie niwelując ten kort. Już dość dawno cierpiał na serce i często musiał kłaść się w biurze dla odpoczynku. Za swym biurkiem miał w tym celu skórą pokrytą leżankę, na której siadywał zamiast na krześle.

Budynek Hindmarsh, gdzie mieścił się dział projektowania, był widocznie bardzo stary, bo miał kamienne ściany grube na metr ale pomimo tego było w nim gorąco w lecie i zimno w zimie, gdyż nie posiadał centralnego ogrzewania ani chłodzenia. W lecie gorące promienie słońca wpadały przez wschodnie okna, a w zimie podczerwone lampy zainstalowane pod biurkami nie dawały nam dość ciepła. W małej jadalni na parterze koncentrowało się towarzyskie życie budynku przy porannej i popołudniowej herbacie i przy obiadach w południe. Przy małych, kwadratowych, czteroosobowych stolikach jadalni grano w brydża. Ja należałem do tych, którzy czytali lub rozmawiali. Trzej inni Polacy pracowali też w budynku, więc siedząc razem rozmawialiśmy o książkach, polityce i ogólnie mówiąc "rozwiązywaliśmy problemy świata". Dziesięć minut przewidziane na herbatę przeciągało się zazwyczaj, tak że administrator działu musiał nas czasem upominać: "Już czas, panowie!". Położenie budynku było dogodne pod względem odległości od uniwersytetu, bo do szkoły na wykład i z powrotem był tylko krótki spacer. My, studiumy w niepełnym wymiarze godzin, nie włączaliśmy się w życie studenckie oprócz herbaty czy posiłków w refektarzu, gdzie zapoznałem innych polskich studentów z wydziałów inżynierii i medycyny.

Bardzo ważnym wydarzeniem w roku akademickim dla studentów uczących się w pełnym wymiarze godzin był ostatni dzień drugiego trymestru, kiedy to urządzali oni w mieście różne psoty i organizowali pochód jego ulicami. Przechodził on ulicą Grenfell Street, właśnie przed naszym biurem i oglądaliśmy go z góry z okien. Jednego roku pochód prowadził student niosący ogromny, różowy balon, który widocznie reklamował zabawę policji miejskiej, bo nosił napis *The Policeman's Ball*. Za nim podążało wiele innych pozycji długiego pochodu, a na jego końcu drugi różowy balon, tym razem z napisem *The Other One*<sup>24</sup>!

Przy końcu marca 1953 roku, za radą Czeška, kupiliśmy nasz pierwszy samochód. Był to beżowy vauxhall 10 z 1940 roku z całkiem dobrą karoserią, ale z silnikiem wymagającym natychmiastowego remontu. Mało nowych samochodów na rynku powodowało, że trzeba było czekać miesiącami na ich dostawę. Innym skutkiem tego było to, że nawet stare wozy były drogie. Zapłaciliśmy 190 funtów zadatku, a pozostałe 200 mieliśmy wpłacić po sprzedaniu motocykla. Zaś handlarz, który nam samochód sprzedał był typowo "uczciwy": przekładnia wyskoczyła zupełnie ze skrzyni biegów w drodze od niego do domu. Aby zmniejszyć koszt remontu, wyjęliśmy z wozu silnik i rozmontowaliśmy go sami pod kierunkiem naszego sąsiada, pana Błaszczyka, który był mechanikiem samochodowym w Polsce. Pracowałem przy tym z sąsiadem cały Wielki Piątek i połowę Wielkiej Soboty. Zapoznałem się w ten sposób z czynnością zajmującą sporo czasu młodym Australijczykom rodzaju męskiego: reperowaniem starych samochodów. Nigdy nie miałem tak ubrudzonych rąk jak przy tej pracy. Nawet po pierwszym umyciu, brud z olejem miałem wokoło paznokci i



wydawało się, że był też we wszystkich porach mej skóry, bo woń spalonego oleju przenikała całe moje ciało.

Na początku samochód przyniósł nam wiele kłopotu i wydatków, a mało pożytku. W czasie gdy remontowano blok silnika i przywieziono go z warsztatu, pan Błaszczyk przeglądał głowicę do niego i stwierdził, że była pęknięta. Podczas podgrzewania jej do spawania znaleziono jeszcze dwa pęknięcia, co oznaczało czekanie jeszcze tydzień na reperację i dalszy koszt £10 w dodatku do £40 za remont bloku. Wreszcie silnik złożyliśmy i wstawiliśmy z powrotem do karoserii, ale pan Błaszczyk męczył się przez dwa dni zanim go zapalił. Tłoki były ciasno dopasowane w cylindrach i dopiero gdy wlał do nich trochę oliwy przez otwory do świec, udało mu się silnik uruchomić. Sam miałem jakieś takie pojęcie o silniku i jego częściach po kursie samochodowym skończonym w szkole w Kolonii w Niemczech. Pracując z naszym uczynnym sąsiadem zdobyłem dużo wiadomości praktycznych pomagając mu i słuchając jego barwnych opisów tajemnic silnika. "Od czasu do czasu dobrze jest obejrzeć jak wygląda od wewnątrz koniec rury wydechowej" — wyjaśniał. "Jeśli jest szarego koloru, wskazuje to, że spalanie paliwa jest właściwe. Ale jeśli jest 'ciemno-czarne', spalanie trzeba uregulować". Nie zdradziłem mej nieświadomości co do istnienia jasnej i ciemnej czerni, ale taki opis wybornie wyjaśniał o co chodziło.

Czesiek był wtedy na wakacjach i wybrał się samochodem do miasta. W tamtą stronę wszystko poszło dobrze, ale z powrotem dojechał tylko na pół drogi i musiał się zatrzymać, bo wyraźnie było coś nie w porządku z samochodem. Po chwili próbował jechać dalej, ale znów stanął z powodu metalicznych odgłosów dochodzących z silnika. Później, wieczorem, ja próbowałem przyjechać do domu, ale skończyło się na tym, że zostawiłem samochód w jednej z bocznych ulic. Dopiero na drugi dzień pan Błaszczyk i Czesiek przyjechali do domu i to z trudem. Okazało się, że ... wody w chłodnicy było za mało! Poprzedniego dnia przepłukiwali chłodnicę i widocznie niezupełnie ją napełnili. Na szczęście nic nie uległo uszkodzeniu. Ale nastąpiły inne kłopoty. Trzeba było wyreperować skrzynię biegów, bo było raczej niewskazaniem, żeby od czasu do czasu wyskakiwała z niej przekładnia! Nastawienie przednich kół wymagało sprawdzenia i naturalnie okazało się, że trzeba było wymienić tam niektóre części. Przełożywszy to na pieniądze, wyszło: £10 za skrzynię biegów i £23 za reperację przodu wozu. Czy nie było końca tym kłopotom i wydatkom?

Okazało się, że na razie to jednak był chyba koniec, bo mama, Czesiek i ja zdołaliśmy pojechać własnym samochodem do miasta na operę. Rok temu powstała w Melbourne australijska opera narodowa i przyjechała do Adelajdy z piękną produkcją mozartowskiej *Cosi Fan Tutte*, w której jednak męskie głosy mogłyby być lepsze.

Pod koniec sierpnia Ala ze swym mężem Jurkiem, rocznym synkiem i rodzicami odwiedzili nas, a że wszyscy byli ludźmi miłymi, towarzyskimi i wesołymi, spędziliśmy razem przyjemne, niedzielne popołudnie. A dwa tygodnie później byliśmy na pogrzebie

Jurka. Tak. Wydawało się to nieprawdopodobnym, trudnym do uwierzenia, a jednak było tragiczną prawdą. Zmarł w szpitalu po wypadku drogowym na Rundle Street. Był to wstrząs dla mnie, ale jaki to musiał być okropny cios dla jego żony Ali. Byli takim zgranym, młodym małżeństwem, żyli ze sobą tylko około dwóch lat, a naraz to ...

Zaczęliśmy poważnie myśleć o budowie stałego domu z przodu działki. Początkowo chcieliśmy tylko zmienić trochę plan, który przygotowaliśmy na dom azbestowy, ale po długich rozmyślaniach i rozmowach skreśliłem szkic zupełnie innego domu, a potem poszedłem po radę do Stefana Pikusy, kolegi z Lippstadt i studenta architektury, który też pracował w Electricity Trust. Jego projekt nowoczesnego domu w kształcie litery "T" podobał mi się dużo więcej niż konwencjonalne kwadratowe czy prostokątne plany. Dom miał cztery sypialnie, duży salon, jadalnię oraz zwykle pomieszczenia użytkowe. Garaż i warsztat przylegały do domu. Salon miał ogromne okno od podłogi do sufitu wychodzące na ogród z tyłu domu i tworzące jakby przedłużenie salonu na dwór. Ściany miały być z palonej, kremowej cegły, a dach o małej pochyłości pokryty falistymi płytami azbestowymi. Planowaliśmy zacząć budowę w 1954 roku.

Przez ostatnie dwa miesiące 1953 roku pracowałem nie przy albumie fotograficznym, ale jako urzędnik biurowy w sekcji kontraktów elektrycznych na drugim piętrze w tym samym budynku. Praca polegała na rozdzielaniu nadeszłej poczty, na zbieraniu listów do wysłania i na prowadzeniu ewidencji korespondencji. Nie było przy tym wiele pracy, więc po regularnym obejściu biura kilka razy dziennie, czytałem książki.

A wyniki końcowych egzaminów były dla mnie niepomyślne. Nie zdałem chemii, tak jak się obawiałem, a matematykę zdałem, ale z wynikiem za niskim jak na studenta inżynierii, co oznaczało, że przedmiot trzeba będzie powtarzać, tak że właściwie zdałem tylko kreślarstwo. Okropne! Czekala mnie rozmowa z urzędnikiem szkoleniowym Trustu na temat moich tak marnych wyników.

Pod koniec stycznia 1954 roku, po urlopie, zostałem przeniesiony do biura podmiejskiej centrali północnego okręgu Trustu w Nailsworth. Po tygodniu orientacji w biurze zacząłem znów praktykę, tym razem w zakładzie roboczym na przedmieściu Port Adelaide. Pracowałem przy konserwacji linii niskiego napięcia, przy stawianiu słupów przy ulicach nad morzem i przy innych podobnych zajęciach, ale tylko pomagając na ziemi, gdyż nie miałem kwalifikacji do pracy przy przewodach w powietrzu. Raz jednak dano mi okazję wdrapania się na słup linii wysokiego napięcia po wyłączeniu prądu do mycia izolatorów. Okazję wykorzystałem i jak się później dowiedziałem, był to jeden z dwóch najwyższych słupów stobiego w Adelajdzie w tamtym czasie. Ogólna długość jego wynosiła 26 metrów, a wznosił się 23.5 metra ponad powierzchnię ziemi. Wszedłem na drabinę, a powyżej niej

wspinałem się po specjalnych śrubach przymocowanych do słupa. Wdrapałem się na pierwszą z trzech stalowych poprzeczek u szczytu. Było to już dla mnie dostatecznie wysoko. Dlatego, że słup był taki wielki, był skonstruowany w specjalny sposób i kołysał się na wietrze więcej niż konwencjonalne słupy. Patrząc na słup z dołu, wydawało się, że wcale się nie ruszał, ale stojąc nań u góry można było wyraźnie odczuć jego odchylenia się od pionu. Wystarczyło mi więc, że stałem na poprzeczce przywiązany linką bezpieczeństwa do słupa i przyglądałem się, jak pracownicy myli izolatory. Praca w podmiejskim zakładzie pozwoliła mi zapoznać się z monterami liniowymi — "silnymi i nieskomplikowanymi", choć nie wszyscy byli tacy. W zasadzie byli porządnymi ludźmi i dobrymi towarzyszami pracy, ale mówili językiem gęsto naszpikowanym najsoczystszymi przekleństwami, podczas gdy w tamtym czasie nikt nie odważył się użyć nawet słowa *bloody*<sup>25</sup> w towarzystwie. I byli dziwnie wybredni w jedzeniu: z kanapek z białego chleba wyjadali tylko środek, a wyrzucali skórki, które były tylko odrobinę twardsze.

Zazwyczaj nie nawiedzają Południowej Australii silne trzęsienia ziemi, ale właśnie najsilniejsze wstrząsy, o jakich kiedykolwiek słyszano, nastąpiły w poniedziałek 1 marca o 3.40 po północy i trwały 30 sekund. Najbardziej dały się odczuć w górach, gdzie kilka domów zostało zniszczonych. Na innych przedmieściach i w śródmieściu szereg budynków uległo uszkodzeniu. Na szczęście nie było poważnych obrażeń wśród ludności. Nasz dom trząsał się dość mocno, ale ponieważ był drewniany, żadnych uszkodzeń nie było na nim widać. Ja przebudziłem się już po trzęsieniu ziemi, ale na krótko przedtem, w półśnie, słyszałem jak gruchotały filiżanki w szafie kuchennej.

Jeszcze jedno niezwykle wydarzenie w Południowej Australii miało miejsce w marcu: w piątek 19-tego królowa Elżbieta II przejechała ulicami Adelajdy. Udałem się do miasta razem z sąsiadem, panem Uszyńskim, aby ją zobaczyć. Choć byłem Polakiem, nawet jeszcze nie obywatelem australijskim, to jednak widok tej młodej monarchini o milęj powierzchowności poruszył mnie.

Gdy zaczął się rok akademicki, zapisałem się znów na matematykę i chemię i na praktykę warsztatową. Kierownik zakładu roboczego w Port Adelaide, Mr Wright, chciał żebym został u niego przez cały rok ze zwolnieniami tylko na wykłady, ale ja wolałem wrócić do centrali okręgu w Nailsworth, gdzie mogłem zdobyć więcej i bardziej zróżnicowanego doświadczenia, a kierownik okręgu, inżynier Mr Crammond, zgodził się na to.

Centrala Nailsworth składała się z bardzo małego, prostokątnego, parterowego budynku biurowego, magazynu i warsztatu na niedużym kawałku ziemi ogrodzonym siatkowym płotem. Budynek był stanowczo za mały aby pomieścić cały personel tam pracujący. Na jednym końcu znajdowało się biuro pana Crammonda i jego zastępcy a w

pozostałym pomieszczeniu tłoczyły się jedno przy drugich biurka inżynierów, studentów, elektryków i personelu administracyjnego. Kilka przenośnych baraczków, takich samych jak te, w których mieszkaliśmy w obozie koło Port Augusta, pomogło trochę rozwiązać problem braku miejsca, ale niezupełnie. Tak więc my studenci, a było nas tam około dziesięciu, podjęliśmy się zbudowania "biura kreślarskiego". Jak się orientowaliśmy, w centrali były kiedyś konie i wozy i z tego okresu pozostała owarta z jednej strony przybudówka z asfaltową podłogą, służąca kiedyś za stajnię czy wozownię. W przerwach między wykładami, ci z nas, którzy mieli jakieś pojęcie o budownictwie, jak na przykład Ian Morrison i ja (po budowie naszego tymczasowego domu), zajęliśmy się zamknięciem otwartej strony tej wozowni, stawiając drewniany szkielet ściany, wbudowując okna, drzwi i objając blachą tą ścianę naszego "biura". Kilka desek kreślarskich, stołki, stół i ławki stanowiły podstawowe meble i biuro było gotowe! Nawet było ono "klimatyzowane", ale w taki sposób, że powietrze było takie same wewnątrz, jak na zewnątrz. No, niezupełnie. W zimie mieliśmy elektryczne grzejniki.

Do jednego z obowiązków "kadetów" w Nailsworth należało przywożenie z pobliskich sklepów "obiadów" dla personelu biura. Jeździliśmy po to czymś, co tylko z pewnym wahaniem można było nazwać pojazdem mechanicznym. Był to rodzaj małej furgonki, rozklekotanej, z silnikiem, wydawało się, jedno, a najwyżej "półtora cylindrowym", prawie bez hamulców i z rozrusznikiem, który nie zawsze działał. Pojechać tym cudakiem po kanapki, bułki z szynką i inne ciasta było prawdziwym wyzwaniem! Ale przez pewien czas miałem bardzo dobrą pracę. Zostałem "kierownikiem" gaśnic pożarowych w całym okręgu! Musiałem zaprowadzić ich ewidencję, sprawdzać je, wypróżniać i znów napełniać w odpowiednich odstępach czasu a to oznaczało, że mogłem sobie jeździć nawet na prowincję, do najodleglejszych zakładów w naszym okręgu. Pozatym wykopywaliśmy już niepotrzebne podziemne kable, wymierzaliśmy i palikowaliśmy linie 11 000 wolt na pobliskiej prowincji, kreśliliśmy i wykonywaliśmy obliczenia w naszym nowym biurze. Wszystko to działo się przed erą komputerów, a nawet przed erą elektronicznych kalkulatorów, tak że obliczenia przy pomocy tablic logarytmicznych albo wiernego suwaka były żmudną pracą. Wydawało nam się wielkim ułatwieniem, gdy obliczając zmianę napięcia przewodu zapoznaliśmy się z metodą rozwiązywania równania trzeciego stopnia na suwaku! Jeden z inżynierów w Nailsworth, korpulentny, dobroniosy Ukrainiec Jan Maciurak, przygotował nam też pomoce do projektowania linii przesyłowych w formie wykresów i tablic. Siedział całymi dniami obliczając tablice, a ludzie w biurze nie orientujący się, co chciał osiągnąć, mówili, że "Jan od nowa obliczał tablice logarytmiczne". Naturalnie, mówił po polsku bez zarzutu, gdyż kończył studia przed wojną na politechnice lwowskiej. Był to interesujący człowiek i często spędzałem wolny czas na rozmowie z nim. Mieliśmy też szczęście posiadać w Nailsworth jedną z pierwszych, nieco prymitywnych, "mokrych" fotokopiarek, tak że wszystkie tablice i

wykresy Jana można było łatwo skopiować w jednym z obozowych baraczków przerobionym na tymczasową ciemnię.

Budowano wówczas zupełnie nowe, satelitarne miasto Adelajdy, nazwane po niedawnej wizycie królowej jej imieniem: Elizabeth, a nasz okręg Trustu miał zapewnić mu energię elektryczną. Jednego dnia Mr Crammond zawołał mnie do swego biura i spytał, czy wiem co to jest PCW. Wiedziałem, że to miało coś wspólnego z kablem elektrycznym, ale poza tym nic więcej. Okazało się, że skrót oznaczał polichlorek winylu, nowy materiał plastikowy używany między innymi jako odporna powłoka do kabli elektrycznych, a Mr Crammond zdecydował zakopywać takie kable w Elizabeth prosto w ziemię, bez żadnej dodatkowej ochrony. Mnie polecił udać się do biblioteki stanowej i zebrać tam wszelkie informacje o tym nowym materiale jakie tylko mogłem znaleźć. W trakcie tej pracy odwiedziłem też nowopowstające miasto Elizabeth, które wtedy składało się jedynie z sieci zabłoconych dróg właśnie budowanych i rowów w których kładziono kable powleczone osłoną z PCW.

Szefem "kadetów" był w tym czasie młody i wesoły inżynier o nazwisku Allan Scott i oficjalnym tytule Asystenta Technicznego. Miał poczucie humoru i dobrze się z nim pracowało. Przydzielono mu ówczesną dumę australijskich samochodów, sześciocyndrową, nową furgonetkę marki holden, którą mogłem czasem pożyczać, gdy trzeba było wyjechać w trakcie pracy. Centrala Nailsworth posiadała też nowy, terenowy land rover, którym Allan, jako entuzjasta samochodów, bardzo lubił jeździć. Przy wyjazdach na prowincję demonstrował nam jak świetną miał ten samochód skrzynię biegów, bo przy odpowiednich obrotach silnika można było w nim zmieniać biegi bez użycia sprzęgła.

Pracując w Nailsworth trzeba było mieć samochód na dojazd do pracy i na wykłady do uniwersytetu w mieście. Korzystałem w tym celu z naszego vauxhalla. Dumą innego studenta, Johna Wiggana, syna starszego inżyniera w Truście, był malutki, "starożytny", dwuosobowy, sportowy austin 7. Czasem zabierałem się z Johnem do szkoły. Raz zdecydował on przedostać się na drugą stronę rzeki Torrens w mieście przejeżdżając swym austinem uniwersytecki most dla pieszych. Malutki, wąski samochód dokonał tego nielegalnego wyczynu bez żadnej trudności!

W naszej rodzinie mieliśmy wesele! W grudniu poprzedniego roku mój brat Czesiek zaręczył się z Henią, atrakcyjną, 17 letnią Polką, która była w Australii ze swą matką i starszą siostrą. Henia i Czesiek wzięli ślub 1 maja w kościele Św. Patryka. Celebrował ks. Kuczmański, Heni siostra Olga była pierwszą druchną, a ja pierwszym drużbą. Przyjęcie weselne dla obu rodzin i bliskich przyjaciół odbyło się w domu matki Heni w Prospect i początkowo młoda para tam zamieszkała. Wkrótce jednak przeprowadzili się do wynajętego mieszkania, potem z powrotem do matki, potem mieszkali przez pewien czas u nas i wreszcie we własnym domu w Elizabeth.

A ja poznałem ładną blondynkę imieniem Monika, z którą spotykałem się przez jakieś pół roku. Chodziliśmy do kina, na polskie zabawy, nad morze, na przejażdżki na wieś, ale jakoś nie angażowałem się emocjonalnie i widocznie byłem nudnym kompanem, bo znajomość jakoś nie prowadziła do czegoś konkretnego. Monika w końcu straciła zainteresowanie i zerwała ją. Trochę mnie to na początku zasmuciło, ale ten stan nie trwał długo.



Brat Czesiek z żoną Henią i synkiem

Największym minusem studiów było to, że trzeciotrymestrowe egzaminy psuły koniec każdego roku kalendarzowego! Pod tym względem rok 1954 nie różnił się od innych, ale na szczęście dla mnie, miałem kilka dni przerwy pomiędzy poszczególnymi egzaminami, co pozwoliło mi lepiej powtórzyć materiał. Przygotowując się do chemii poprosiłem o pomoc mego kolegę Stefana Jaworskiego, który też studiował na uniwersytecie adelaidskim i to właśnie chemię, i przedmiot ten znał szczególnie dobrze. A zdałem chemię głównie dlatego, że nowy program jej zawierał dużo fizycznej (molekularnej) chemii, którą lepiej rozumiałem niż zwykłą chemię nieorganiczną czy organiczną. Zdałem też matematykę i praktykę warsztatową, więc w sumie koniec roku wcale nie był dla mnie zły!

Po urlopie, w drugiej połowie stycznia 1955 roku, zacząłem znów pracę w centrali Nailsworth, wdzięczny za to, że nie wysłano mnie do nieciekawego, podmiejskiego zakładu konstrukcyjnego. Dostałem interesującą pracę, która zajęła mi szereg miesięcy. Wszystkie stacje transformatorów wewnątrz fabryki samochodów *General Motors Holden* na przedmieściu Woodville, do tego czasu zasilane energią elektryczną o napięciu 7600 volt, zmieniano na 33 000 volt. Niektóre z nich zostały już zmienione, ale pozostało jeszcze pięć o

niższym napięciu. Wszystkie te stacje miały być połączone między sobą podziemnymi kablami biegnącymi w poczwórnych, kamiennych kanałach. Moim zadaniem było wyznaczyć trasę kanałów tak, żeby nie napotykały na żadne przeszkody w postaci rur wodnych, kanalizacyjnych czy telefonicznych. Najpierw musiałem zapoznać się z tym, co się tam pod ziemią już znajdowało, udając się szereg razy do fabryki Holdena, zaglądając do podziemnych włazów, szkicując i zapisując to, co widziałem. Potem kreśliłem nowe trasy i znów odwiedzałem fabrykę gdy potrzebne były dodatkowe informacje. U Holdena pracowało bardzo wielu Polaków, przeważnie na linii montażowej; niektórych z nich zapoznałem przy kościele, czy na polskich imprezach, więc w mych wędrówkach po fabryce często spotykałem znajome twarze i zatrzymywałem się aby zamienić z nimi kilka słów.

W nowym roku akademickim zaczynającym się w marcu, zapisałem się na dwa przedmioty matematyczne i na miernictwo. Stanowiło to duże obciążenie i oznaczało, że miałem cały rok bardzo zajęty. W tym samym miesiącu zaczęliśmy też budowę stałego domu i w jeden z weekendów zalaliśmy betonowe fundamenty. Ojciec i ja zwolniliśmy się z pracy już we czwartek po południu i zaczęliśmy niwelować i kopać rowy według sznurków ponaciąganych przez sąsiada, pana Koleckiego, który miał firmę zajmującą się zakładaniem fundamentów. W piątek rano pomagało nam dwóch sąsiadów rodaków, którzy szli do pracy w fabryce dopiero na popołudniową zmianę, tak, że do wieczora więcej niż połowa desek i uzbrojenia była ustawiona. O siódmej rano w sobotę było nas do pracy dziesięciu: siedmiu rodaków, sąsiadów i znajomych i my trzej. Jeden ustawiał resztę desek i uzbrojenia, a inni zaczęli mieszać beton w wypożyczonej betoniarni i napełniać deskowanie. Dzień był gorący i przy ciężkiej pracy pot lał się każdemu z czoła. Mama i żona Czeška, Henia, przynosiły od czasu do czasu na tacy dziesięć szklanek zimnego piwa, które nas orzeźwiało i zaspokajało pragnienie. Do szóstej wieczora fundament był wykończony, ale ja też. Po prysznicu i kolacji nie mogłem ruszyć ręką ani nogą.

Nielatwo było dostać cegłę na budowę, bo w tym czasie było jej ogólnie brak. Zamówiłem kremową cegłę na zewnętrzne ściany w cegielni w miejscowości Lobethal w adelajdzkich wzgórzach, ale mieli ją dostawić dopiero w październiku. Czerwoną cegłę gorszego gatunku na wewnętrzne ściany mieliśmy dostać wcześniej, za pośrednictwem mojego australijskiego współpracownika z Nailsworth, którego ojciec pracował w cegielni.

Tak więc w dodatku do zajęć uniwersyteckich musiałem poświęcać czas i martwić się sprawami dotyczącymi budowy domu. Zdobywanie materiału i korespondencja z tym związana spoczyły wyłącznie na moich barkach. Pomocą dla mnie było to, że mogłem załatwiać niektóre sprawy w czasie dnia, zbaczając nieco w drodze do jakiejś pracy, albo wracając z uniwersytetu. Okna stalowe zamówiłem w fabryce, szafki do kuchni u stolarza niedaleko Nailsworth a ramy do drewnianych okien u polskiego stolarza mieszkającego niedaleko nas. Murarzem był Mr Hill, który zajmował się tym już przez 35 lat, a jego syn

pracował jako pomocnik. Cena za pracę murarską wynosiła Ł350 i Ł9 za późniejsze dodatkowe ściany.



Zakładamy fundamenty stałego domu

Murarz zaczął pracę 2 września, tak jak się zgodziliśmy, ale mógł tylko prowadzić wewnętrzne ściany. Gdy zadzwoniłem do cegielni w Lobethal, powiedzieli mi, że z powodu mokrej zimy nie mogli dostawić kremowych cegieł na zewnętrzne ściany przed końcem miesiąca. Dopiero gdy pojechałem do cegielni i interweniowałem osobiście, dostałem wóz cegły tydzień później i niedługo potem resztę zamówienia.

Nasz dom rósł. Do 2 listopada, kiedy to murarze poszli na dwutygodniowe wakacje, większość ścian była skończona. Mógłbym być zacząć myśleć o zorganizowaniu drzewa na dach i ludzi, którzyby je założyli, ale po prostu nie miałem na to czasu. Końcowe egzaminy zbliżały się i zwoleń się na dwa tygodnie z pracy aby się do nich przygotować. Cztery dni wolne dał Trust, a sześć dni wzięłem bez płacy. Ale to wszystko niewiele mi pomogło. Nie wiedziałem, czy było to dlatego, że równocześnie pracowałem, studiowałem i budowałem dom, ale wyniki egzaminów były katastrofalne. Zdałem tylko jedną matematykę. Egzamin z teorii miernictwa poszedł mi dobrze, ale nie tak dobrze aby nadrobić złe wyniki z obliczeń mierniczych.

Wkrótce po egzaminach udałem się na dwutygodniowy obóz mierniczy w adelajdzkich wzgórzach na praktykę miernictwa i kreślenie planów. Tak się złożyło, że od pierwszych dni listopada 1955 roku do połowy stycznia 1956 roku tylko krótko przebywałem w biurze, a to z powodu urlopu przed egzaminami, samych egzaminów, obozu mierniczego i mego urlopu w styczniu. I wcale się nie spodziewałem, że w czasie tego urlopu los zgotuje mi wielką niespodziankę ...

Podczas wakacji pojechałem z rodzicami i siostrą Teresą naszym samochodem do sąsiedniego stanu i tam spotkałem się znów z dziewczyną, którą widziałem ostatni raz w obozie przejściowym w Münster przed przyjazdem do Australii i która wtedy tak mi



zaimponowała. Ale przy obecnym, drugim spotkaniu była to już dla mnie miłość od pierwszego wejrzenia i, co najważniejsze, również dla niej. Zdałem sobie sprawę, że spotkało mnie wielkie szczęście, że moje poszukiwanie miłości, moje pragnienie aby być kochanym i kochać osiągnęło swą kadencję, swoje harmonijne zakończenie ... Oficjalnie zaręczyliśmy się w lutym, gdy odwiedziłem ją ponownie.



Z murarzami przy rosnącym domu

Moje studia w 1956 roku zaczęły się dla mnie wcześniej: na początku lutego zamiast przy końcu marca. Urzędnik Trustu do spraw szkolenia zaproponował mi przeniesienie się na studia inżynierii w szkole górniczej, z powodu nie zdania dwóch przedmiotów w poprzednim roku i dwóch dawniej. Mógłbym być oponować, ale może tak było lepiej. Zresztą niezadługo potem szkoła górnicza zaczęła współpracę z uniwersytetem adelaidskim i została Instytutem Technologii, którego dyplomy przyznawał uniwersytet.

A w pracy w Nailsworth dopiero co skończone wakacje okazały się bardzo owocnymi. Nie tylko ja wróciłem z nich zaręczony, ale dwóch innych kolegów-kadetów również!

Praca przy domu posuwała się naprzód. Przed Wielkanocą zanagazowałem dwóch cieślów do założenia drzewa na dach. Nie byli to zawodowi rzemieślnicy, ale ludzie, którzy wcześniej sami zbudowali własne domy i można ich było wynajmować do pracy w weekendy. Ojciec i ja pomagaliśmy im ile tylko mogliśmy. Pracowali dość powoli, nie skończyli pracy wtedy, kiedy przyrzekli i musieliśmy ją skończyć z ojcem, przeważnie wieczorami. Część izolacji z wzmocnionego papieru z folią aluminiową już została na dach założona, więc trzeba było szybko założyć resztę i pokryć płytami falistego azbestu, żeby wiatr jej nie uszkodził. W poniedziałek zwolniłem się z pracy, poszedłem tylko na wykład i pracowaliśmy z ojcem na dachu, a po południu pomagał nam też Czesiek. Niestety niewiele osiągnęliśmy, gdyż zerwał się silny wiatr i trzeba było pracować nad zabezpieczeniem izolacji od wiatru. Byliśmy znów na dachu do południa we wtorek i przez następne kilka poranków i wieczorów i wreszcie dach

był gotowy dla blacharza, który założył rynny, a zaraz potem firma pokryła dach płytami azbestowymi.

Wysłałem wiele listów do mojej narzeczonej, dużo ich otrzymałem i często ją odwiedzałem. Kochałem ją bardzo i czułem się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Kilka lat przedtem zastanawiałem się, czy będę jeszcze mógł kogoś kochać miłością taką jak ta pierwsza. Okazało się, że moje wątpliwości co do tego były zupełnie bezpodstawne. Jeśli była jakaś różnica, to tylko taka, że moja miłość do niej była większa niż ta pierwsza, która przyniosła mi wiele smutku i bólu serca, zaś stała, piękna miłość mojej narzeczonej była dla mnie szczęściem i ostoją.

Utrzymywałem też kontakt z moim przyjacielem Józkiem w Polsce. Poświęcił się on wyłącznie rzeźbie, ale początkowo nie zdobył sławy, był zmartwiony i rozczarowany. Kontynuował swą specjalizację w medalierstwie, choć od czasu do czasu tworzył też pełne, trójwymiarowe rzeźby. Jego medale to nie konwencjonalne krążki produkowane w większych ilościach przez mennicę, ale dzieła odlewane indywidualnie. Były one o większych wymiarach i o różnych kształtach, w przybliżeniu kwadratowe o boku około 10 centymetrów, albo o nieregularnych kształtach. Tematy też były niekonwencjonalne. Mogła to być ilustracja jakiejś filozoficznej myśli, obrazek dziecka z kwiatami, obraz żony Józka, jego córki, wrażenia z podróży. Myślę, że można by nazwać te jego piękne miniatury obrazami malowanymi w brązie ...<sup>26</sup>

Józek mieszkał w Poznaniu, a właśnie w czerwcu 1956 roku mieszkańcy Poznania demonstrowali przeciwko komunistycznej władzy w Polsce. Rząd zgniótł protesty siłą i szereg ludzi poniosło śmierć. Polacy w Australii popierali robotników Poznania. W Adelajdzie urządziliśmy duży marsz protestacyjny ulicami miasta w dniu 15 lipca, niosąc transparenty i wyrażając swą solidarność z protestującymi w kraju i wspierając ich opozycję do systemu komunistycznego.

Wstępną datę naszego ślubu wyznaczyliśmy na 24 listopada, ponieważ mój ostatni egzamin miał być 22-go tego miesiąca. Jednakże później egzamin wyznaczono właśnie na 24-go, więc musieliśmy znaleźć inną datę.

Praca przy domu zbliżała się do końca, choć było jeszcze sporo do zrobienia: instalacja okien w łazience, prysznicu i ubikacji, wewnętrzne drzwi do wszystkich pokoi, pokrycie betonowej podłogi w korytarzu płytkami korkowymi i płytkami winylowymi w łazience, kafelkowanie łazienki i malowanie całego domu. Większość tego mieliśmy wykonać sami, a już wcześniej sami założyliśmy wszystkie drewniane podłogi. Na zewnątrz było jeszcze betonowanie chodników i podbijanie okapów, ale to miało się zrobić już po naszym ślubie. Nie byliśmy pewni, czy wszystko wewnątrz zdąży się zrobić na czas, ale nasza sypialnia miała być na pewno skończona. Mieliśmy też problemy finansowe. Bank nie wypłacał ostatniej raty pożyczki, to jest £500, aż dom nie będzie zupełnie wykończony. Nasi

dobrzy sąsiedzi, państwo Błaszczyk, wybawili nas z kłopotu pożyczając nam tę sumę ze swych oszczędności aż do czasu otrzymania reszty pożyczki z banku.

W domu wrzało jak w ulu, co nie pomagało mi w przygotowywaniu się do egzaminów. Stolarz, pan Nadgrodkiewicz, wykańczał wbudowaną szafę w naszej sypialni, tynkarz, pan Rzędowski i jego dwóch pomocników tynkowali ściany w łazience, a mama i ojciec malowali płynnym plastykiem podłogi z australijskiego dębu w salonie i jadalni. Ja pomagałem tu i ówdzie, jeśli nie fizycznie, to starając się odpowiadać na pytania związane z pracami.

Najważniejszy dzień mojego życia zaświtał w niedzielę 25 listopada 1956 roku, kiedy to zawarliśmy związek małżeński na mszy ślubnej w mieście, w którym moja narzeczona mieszkała. Kilka dni później podróżowaliśmy do Adelajdy aby tam zacząć nasze wspólne życie...

- <sup>1</sup> Departament stanowy zajmujący się zaopatrzeniem w wodę i oczyszczaniem ścieków.
- <sup>2</sup> Mierniczy najniższego stopnia wykonujący zazwyczaj tylko niwelowanie.
- <sup>3</sup> Pomiarowy.
- <sup>4</sup> Sekcja miernicza.
- <sup>5</sup> Strumyk Nektarowy.
- <sup>6</sup> Strumyk Eukaliptusowy.
- <sup>7</sup> Słony krzak.
- <sup>8</sup> Kangur.
- <sup>9</sup> Pomiarowi-dżentelmeni .
- <sup>10</sup> Urząd Ziemski.
- <sup>11</sup> Orzech nerkowca zachodniego.
- <sup>12</sup> Inżynier-kadet.
- <sup>13</sup> Bądź moją miłością, bo nikt inny nie zdoła zaspokoić mej tęsknoty.
- <sup>14</sup> Później, gdy skończył kontrakt w Leigh Creeku, wrócił do Adelajdy, studiował socjologię i nauki polityczne na dwóch uniwersytetach. Założył szkołę socjologii na Tasmanii i pracował tam, a na uniwersytecie w Nowej Południowej Walii prowadził badania i zdobył doktorat socjologii. Jest autorem kilku książek w swej dziedzinie, a na "emeryturze" w latach dziewięćdziesiątych jest docentem na dwóch uniwersytetach adelajdzkich. Z Ostoją-Kotkowskim właściwie nie spotkałem się podczas mego pobytu, ale wiedziałem o nim i później poznałem go w Adelajdzie. W Leigh Creek początkowo zarabiał na życie malując domy, ale jako utalentowany artysta, korzystał z okazji aby poznać i podziwiać niezwykle intensywne światło słoneczne na dalekiej północy Australii — coś niezwykłego dla europejskiego artysty. Później szybko zdobył sobie renomę w Adelajdzie i stał się znanym w Australii i w świecie wprowadzając niezwykle zastosowania światła elektrycznego, światła słonecznego, a potem laserów w sztukach plastycznych. W swej pracy zawsze odkrywał coraz to nowe sposoby łączenia swego wielkiego talentu z najnowszymi zdobyczami nowoczesnej technologii. Pod koniec swego życia, w latach dziewięćdziesiątych, posługiwał się komputerami i tworzył wspaniałe i oryginalne obrazy komputerowe.
- <sup>15</sup> Dziura wodna Aroona.
- <sup>16</sup> Byczy kurz.
- <sup>17</sup> Daleka prowincja "na tyłach" kraju.
- <sup>18</sup> Studia dzienne lub wieczorowe w niepełnym wymiarze godzin.
- <sup>19</sup> Sprawdzian do czego kandydat się nadawał.
- <sup>20</sup> Napój ze sztucznej esencji o smaku owocowym.
- <sup>21</sup> Lody z zamrożonego *cordialu*.
- <sup>22</sup> "Tak, proszę pana", "W porządku, proszę pana", "Dziękuję panu".
- <sup>23</sup> Słup stobiego.
- <sup>24</sup> Napis na pierwszym balonie mógł oznaczać "Bal policjanta". Ale słowo "ball"oznacza również jajo, czyli jądro, co wyjaśniło się dopiero z ukazaniem się ostatniego balonu z napisem "A oto drugie".
- <sup>25</sup> Równoważnik polskiego "psia krew"
- <sup>26</sup> Był w czołówce sztuki medalierskiej w Polsce, stał się sławnym, często wystawiał swe prace w kraju i za granicą.